Nr. 27 (1227). Warszawa, 19 Czerwca (2 Lipca) 1904 r. **Rok XXIV.**

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rb. **2**, rocznie rb. **8**, z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. **2** kop. **60**, rocznie rb. 10.
Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Adres: Sadowa Nr 14.

Redaktor przyjmuje interesantów we wtorki i czwartki od godz. 4 do 5 popołudniu.
Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odebrać, w przeciągu sześciu miesięcy, osobiście w Redakcyi lub za pośrednictwem poczty, po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. **10** za wiersz lub jego miejsce.
Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz wszystkie księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.

POLITYKA.

Odwiedziny kilońskie.

Dnia 25 z. m. zapowiedziane spotkanie się króla angielskiego z cesarzem niemieckim weszło do roczników historyi. Władca angielski przebrany za admirała niemieckiego, na jachcie „Victoria and Albert,“ otoczony wielkiemi krążownikami, mając przy sobie lorda admiralicyi Selborne a o god. 3 po południu, w dniu powyższym przypłynął do Holtenau przed Kiel i natychmiast na pokładzie okrętu swego otrzymał wizytę władcy prusko-niemieckiego, który nawzajem wdział był na siebie mundur admiralski, angielski, a do symetryi z Selbornem miał przy sobie Bülowa. Telegraf skwapliwie zapewnia, że monarchowie ucałowali się w oba policzki i uściskali. Cesarz Wilhelm, jako admirał odbył przegląd piechoty morskiej, angielskiej. Potem obaj wyszli na ląd a gospodarz, przechodząc wzdłuż kompanii honorowej, szedł po lewej, gość po prawej ręce Potem wrócili obaj na okręt angielski i popłynęli do Kielu, gdzie na „Hohenzollernie“ czekała na nich cesarzowa Augusta. Przed wieczorem król odwiedził ks. Henryka, marynarza z zawodu. Na uroczystość cesarz niemiecki przywiózł wszystkich swych synów od najstarszego do najmłodszego — niech się uczą i wprawiają.

W całej tej paradzie musi być jakieś ziarno. Jeżeli, donosząc o blizkich odwiedzinach, trzeba było stawiać sobie i czytelnikowi zapytanie: „Po co on tam jedzie,“ to teraz, po odbytych już ceremoniach i uciechach nie można powstrzymać ciekawości: co też on tam zrobił? Gdyby trzymać się tonu dzienników angielskich, odpowiedź wypadałaby: nic, bo po nic nie przyjeżdżał; oto krewny przybywa do krewnego, sportsman morski do sportsmana — czysta wizyta grzeczności. Dzienniki berlińskie, choć im odwiedziny pochlebiały, były jednak w uniesieniach powściągliwe, nawet krytycznie trzeźwe. Mowy stołowe obu panujących na pokładzie „Hohenzollerna“ wieczorem d. 25 b. m. niczego nie powiedziały. Zapewnienie wzajemne o miłości, o rzeczywistości pokoju, który z obu państw dobrodziejstwa swe rozlewać ma i na inne – nie wystarcza do zapełnienia próżni, wytwarzanej przez ciekawość. Tutaj tylko życzenie króla Edwarda, aby obie flagi tak jak teraz powiewać obok siebie mogły, kryje w sobie myśl usunięcia nieporozumień, jakieby doskonałą zgodę tamowały.

Nie przyjeżdża się w porze — jak sam gość powiedział — tak niezwykłej dla spełnienia aktu prostej grzeczności lub sportsmeństwa morskiego; a w tym znowu wypadku nie bierze się z sobą swego ministra marynarki. Ale — powiedzą — w Kielu odbyły się ćwiczenia pokazowe floty niemieckiej — nic zatem prostszego nad to, że z królem przypłynęła i cała prawie eskadra i jej umysłowy kierownik. Tylko czy ciekawość oglądania manewrów niemieckich wystarczała do ściągnięcia głównej osoby, bez której okręty same mogły się doskonale i napatrzyć i nadziwić artyzmowi marynarskiemu Niemców. Jakiekolwiek były pobudki: pokrewieństwa, ciekawości marynarskiej, grzeczności monarszej—zawsze pozostaje coś od nich silniejszego, coś co się pojęciami ich pokryć nie pozwala — pozostaje interes polityczny. Od kogo wyszła pierwsza podnieta, kto jest stroną pilniejszą, kto czynną, a kto bierną, mającą dać przyzwolenie — to zależy od rodzaju, od treści zamierzonej lub upragnionej roboty; w każdym razie coś robiono w Kielu, coś zrobić chciano, a dziennikarska powściągliwość i nawet lekceważąca postawa może być tylko dziełem dobrej policyi dyplomatycznej.

Nie usiłując przebić mgły, która jest stałym żywiołem dyplomacyi, nie wskazując konkretnie domysłami swymi tego, o co obaj władcy umówić się mogli, przyznając możliwość ogólnego porozumienia się na wzór tego, które zapanowało między Francyą a Anglią, czynimy przypuszczenie, że do Kielu na czas zjazdu wrzucił promienie swe również i Daleki Wschód azyatycki. Cesarz Wilhelm od początku, jeszcze w końcu stycznia, przed wybuchem wojny, zajmował się żywo a z wyraźną życzliwością dla Rosyi sprawą Mandżuryi. Król Edward wprawdzie już panował wtedy, kiedy Anglia zapewniała Japonii swą pomoc, ale do Japończyków nie ma zgoła nabożeństwa, a miłość pokoju, którą tak szczerze akcentował, nakazuje mu z dwojga złego: posiadania Mandżuryi przez Rosyi i ostatecznie rozprawienia się z nią o Mandżuryę — wybrać pierwsze, zapobiegające rozpanoszeniu się rasy żółtej, które dla krótkowidztwa kupieckiego Anglików może być takiem samem niebezpieczeństwem, jakiem jest dla sofistyki urzędowej i nieurzędowej umysłów słabych i przewrotnych. *Moskowskija Wiedomosti* przedwcześnie rzucają swe na Anglię pioruny. Może właśnie król Edward nie okazał się tak twardym na umizgi ces. Wilhelma, jak dziennik jest surowym dla polityki angielskiej i jej samodzielności.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Gdy działania Japończyków przeciw Portowi Artura od strony lądu ukrywają się w zupełnej ciemności, niespodziewanie nadchodzi wiadomość o ważnym wypadku na wodach oblewających port. D. 23 z. m. w pobliżu wielkiej warowni, nieco na wschód, oddział floty rosyjskiej (w porcie dowodzi nią naczelnie wiceadmirał Witheft), złożony z 5 lub 6 okrętów bojowych, 4 lub 5 krążowników i 9 torpedowców-rozsadzaczy, wypłynął z zamiarem przebicia się przez Japończyków na wolne morze. Admirał Togo, otrzymawszy w nocy z 22-go wiadomości o przygotowywanym ruchu, jeszcze przed brzaskiem dziennym wysłał flotę torpedowców, których miał przy sobie 20, w przedniej straży dla zaczepienia przeciwnika pociskami wybuchowymi. Sam z 5 lub 6 wielkimi okrętami i 8 krążownikami zbliżył się szybko ku warowni dla stoczenia bitwy. Admirał, dowodzący flotą rosyjską na widok nieprzyjaciela, wzmocnił był swą eskadrę jeszcze 5 torpedowcami, i z początku bój toczyć się musiał z obu stron między temi najstraszniejszymi dziś, choć w rozmiarach najmniejszymi potworami sztuki niszczenia na morzu.

Śmiała wycieczka floty władywostockiej przed d. 15 z. m. wyszła w dwu kierunkach: na wschód i na południo zachód. Tam zatopiła okręt przewozowy „Isumi," tu dwa: „Hitaszy" i „Sado" (maru). Wszystkie trzy wiozły wojsko, żaden nie miał osłony z floty, co zwłaszcza względem „Isumi," zaskoczonego pomiędzy Hokkaido (Jesso) i Niponem przedstawia się, jako czyn niedbalstwa lub lekkomyślności. Poprzednia wiadomość o zapędzeniu „Sado" na mieliznę nie znalazła potwierdzenia: okręt ten również poszedł na dno. Na dwu pozostałych statkach płynął cały pułk japoński — dziś zupełnie zniszczony. Opinia w Japonii żywo oburzyła się na admirała Kamimurę, do którego należało osłanianie przewozowców; zarzuca mu też brak sprężystości w działaniach przeciwko flocie wiceadmirała Skrydłowa, który po zabraniu dwóch jeszcze statków handlowych wrócił spokojnie do Władywostoku.

Na lądzie po bitwie pod Wafang-ku, d. 15 z. m. Oku wcale nie ścigał gen. Stackelberga. Generał rosyjski, który w boju miał przeszło 30,000 wojska ze 100 prawie działami, dokonał odwrotu ku północy i mógł już 20 z. m. być pod Kai-pingiem (Kai czau), gdzie we dwa dni później znajdowały się już większe siły rosyjskie. Od 15 z. m. przez dwanaście dni obie strony przesuwały swe wojska na widowni mandżurskiej, pomiędzy Mukdenem, Liao-jangiem, Niu-czuangiem, Siu-ju-czenem, Feng-chuang-czengiem, a na krańcu wschodnim, bliżej Jalu — pomiędzy Saima-tsi na północy i Takuszanem nadmorskim na południu Japończycy masą swą ciążyli ku linii, na której półwysep Liaotuński zrasta się z lądem mandżurskim; Rosyanie posunęli się od północy, linią drogi żelaznej na południe ku Kajpingowi i Siu-janowi. To poruszenie wszystkich sił wskazuje, że gen. Kuropatkin spóźnioną swą dywersyę chce nagrodzić wrzuceniem wielkiej masy bojowej przed front japoński dla nieuchronnej, większej od dotychczasowych i bardziej stanowczej rozprawy, a Japończycy, nie unikając jej, pragną odpowiednio ustawić się i wzmocnić. Kuroki działa w doskonałem porozumieniu i czuciu z Oku i Nodzu, rozpościerającymi się ze świeżemi wojskami od Takuszanu.

Nic dziwnego, że walki oczekuje świat z wielkiem naprężeniem i że już nawet w bujnej swej imaginacyi odbyć się jej pozwolił — trochę tylko zawcześnie — to 20, to 21, to wreszcie 22 z. m. Jakkolwiek ułoży się linia frontów, już ostateczna przedbojowa, trudno przypuścić, aby gen. Kuropatkin mógł wyrzec się Mugdenu, Laojanu, Kajpingu, a naczelny dowódca japoński — Sajma-tsi, Feng-huang-czengu i Siu-janu. Między tymi zatem dwoma grzbietami strategicznymi rozegra się bój, prawdopodobnie w trójkącie Hai czengu, Kaipingu i Siu-janu.

Gen. Stackelberg pod Wafang-ku poniósł straty, które dzienniki rosyjskie za sam dzień 15 z. m. ustanawiają na 3,000—3,200 zabitych, ranionych i jeńców. Straty d. 14 t. m. oznaczono na 500.

Nie Jamagata, pozostający nadal w Tokio na stanowisku szefa sztabu generalnego, ale Ojama został wodzem naczelnym w Mandżuryi i na półwyspie Liaotuńskim. Błędne było domniemanie, jakoby wódz miał być zarazem i wicekrólem mandżurskim; będzie tylko wodzem.

Zaczyna się pora deszczów, tamujących ruchy wojska.

We Francyi komisya oczyszczenia przesłuchała obu Combes'ów, ojca i syna, Lagrave'a, komisarza z Saint-Louis, który p. Edgarowi Combes, synowi, nie zawahał się krzyknąć: „pan kłamiesz" — bez następstw pojedynkowych; przesłuchała Milleranda, niewiedzącego co z sobą i ze swoją prawdą zrobić; wydobyła zeznania z Bessona, dziennikarza, Pichata, adwokata, Veroorta; zawezwała prowincyała kartuzów Reya — myśli o pociągnięciu innych. Z zeznań widać dziwną nieczułość obu pp. Combes'ów na złą lub dobrą sławę własnego imienia, widać też i intrygi, prawdopodobnie nacyonalistyczne, które chcą jeszcze oprócz ministra i jego generalnego sekretarza w wydziale spraw wewnętrznych na śmietnik wyrzucić i stronnictwo republikańskie. Jacyś czterej deputowani mieli się podjąć „przejednania większości" na stronę kartuzów. Jest to poprostu bajka — nie dlatego, aby dzisiejszy republikanizm francuski nie miał mieć apetytu na miliony, ale dlatego, że niema wśród nich tak potężnego, któryby mógł większość przerobić — dwoma tylko milionami, a choćby i dziesięcioma. Combes nie mógł sięgać po złoto, bo rozpęd dany większości czynił zbyteczną jego własną inicyatywę, a wiedział to równie dobrze on sam, jak ojciec Rey, jak wszyscy ojcowie, którzyby może nie pożałowali dwu milionów — ale tylko z widokami skutku, których tu absolutnie nie było.

Król Edward d. 25 z. m. o godz. 3 ej przybył do Kielu, d. 28 z. m. miał wyjechać w odwiedziny do Hamburga.

Z Dalekiego Wschodu.

KLUCZ WSCHODU.

(Ciąg dalszy).

Chociaż życie zwierzęce Korei, pozostając w ciągłych i ścisłych stosunkach z fauną Mandżuryi, przedstawia tylko jej rozgałęzienie, posiada jednak kilka ciekawych, właściwych sobie zboczeń i osobliwości. W Korei np. wcale niema i prawdopodobnie nigdy nie było wilków, choć jest ich bardzo dużo w przyległej Mandżuryi Wschodniej. Następnie ma Korea własną odmianę czarnych orłów *), dropi (otis Dybowskii), żółtonogą i żółtodziobą kukułkę, wołającą przeciągle „kri," ciemno-burego słowika z szaremi nóżkami, śpiewającego i w locie **). Wśród lisów zdarzają się głęboko północne, czarno-bure odmiany, a w starodawnych podróżach są wzmianki o aligatorach. których obecnie nie zostało ani śladu w pamięci ludu. Do osobliwości korejskich należy też mała ilość, nawet miejscami zupełny brak komarów, muszek, gzów, bąków dokuczliwych i licznych w sąsiednich łasach mandżurskich, a nawet w Japonii. Zato są w Korei pszczoły, których nie posiada wcale Japonia. Widziałem ich tam

*) Widziałem te ptaki w powietrzu, ale w muzeach widziałem jedynie o egzemplarzach w Tokio i we Lwowie — prof. B. Dybowskiego.

**) Oba wspominane gatunki zostały odkryte przez polskiego ornitologa A. Jankowskiego.

Jan Andruszewski.

GAŁGANICA.

(Dokończenie).

Niedziela Wielkanocna.

Słońce złoci runie, ciepły już wiatr dzwoni po suchych ziołach pieśni Zmartwychwstania. Na żółtych kwiatach iwy, kołysanych wiatrem brzęczy rój pszczół; rdzawe i żółte, pierwsze motyle wiosenne, jakby zdziwione życiem, niepewnym, przerywanym lotem przelatują na pola.

Z chałup wychodzą gromadki biało odzianych ludzi, mężczyzn i kobiet, koło nich dzieci, starcy wloką się z tyłu.

Boso, trzymając buty w rękach idą wszyscy miedzami ku polnym drogom, płyną śnieżną falą gościńcem, wiodącym do cerkwi. Po deszczu wczorajszym pachną ziemią budzące się ze snu zagony, zorane pod owies.

Dusza pól zdaje się promienieć w drgających do słońca falach powietrznych. Zdaje się wstawać ze ziemi, iść do stworzeń, do ludzi, kochać życie, modlić się. Wielka, czysta, promienna miłość wonieje w powietrzu, dzwoni pieśnią skowronków w błękicie, szumi wiatrem, wieje na świat, otula go, święci się szczęściem słonecznem.

Gromadki ludzkie spotykają się ze sobą po drodze.

— Chrystos woskresen! — mówią jedni.

— Woistenno woskresen! — odpowiadają drudzy — i razem już idą. Baby podniosły kożuchy i białe płótnianki, chroniąc je od błota.

Głos dzwonów płynie w przestworzu nad niwy, nad łąki. Dopadł boru, po pniach sosnowych dźwięczy, miesza się z szumem ich koron.

Radość im niesie, czy ból? Tak samo dźwięczał zeszłego tygodnia na pogrzeb starego Chomy leśnego, tak samo zawodził. Choma chodził tu przez pół wieku, wychował wszystkie te drzewa, znał każdą sosnę w borze, każdą brzozę na rowie granicznym.

Niedawno dzwony po nim płakały. Dziś dzwonią szczęście z martwych powstania. Tak samo, jak przed tygodniem, tak samo, i drzewa szumią tak samo...

* *

— Lepiej bo i ono, że ktoś zostanie w chałupie — mówi brat Jewki, wychodząc z żoną do cerkwi.

Jewka siedzi koło pieca i słyszy, jak idą podwórzem, jak wychodzą za obejście i zamykają za sobą skrzypiące wrota. Chcieli nawet, żeby szła z nimi, ale ona nie chciała. Od tygodnia jest u nich.

Wzięli ją łakomie, bo zaczynały się w polu wiosenne roboty, a oni wiedzieli, jaka im siła przybywa.

Pracuje od świtu do nocy. Parzy osypkę dla świń, nosi wodę, miele na żarnach, gotuje. Najlepiej lubi kopać w polu, całymi dniami, bez opamiętania, bez odpoczynku, do umęczenia byle być samą, jak najdalej od ludzi. Za to ma kąt na strychu i łyżkę strawy.

wszystkiego dwa ule w Wyższej Szkole rolniczej w Sapporo, podczas gdy nieledwie w każdej wiosce korejskiej znajdowałem choć kilka roi, a koło niektórych domów nawet małe pasieki.

Słyną z piękności barw i rzadkich gatunków korejskie motyle oraz żuki, a jest ich moc niezmierna. W czasie mojej podróży, choć pora już była spóźniona, widziałem w okolicach Seulu, krążące nad polami, jaskrawe motyle, wielkie chrząszcze, przelatujące przez drogę, nieraz uderzały mię w twarz lub spadały na konia. Głęboko pod kupami kamieni żyją tu wielkie krateguzy o świetnej, złocistej barwie. Dziwna rzecz, że owady korejskie wogólności bliższe są owadom japońskim, niż chińskim. Z 301 znanych gatunków ptaków ma Korea 279 wspólnych z Japonią i Chinami, oraz 249 z Mandżuryą; z 253 gatunków tęgopokrywych ma 147 wspólnych z Japonią a tylko 82 z Mandżuryą.

Ponieważ chrząszcze w swem gatunkowaniu przedstawiają najczulszy na wpływy środowiska materyał biologiczny i najwierniejsze jego odbicie, należałoby stąd wnosić o wielkiem podobieństwie warunków życiowych w Japonii i w Korei oraz o długiem i ścisłem połączeniu obu krajów w odległej przeszłości.

Morza korejskie obfitują w ryby; szczególniej dużo tu śledzi i łososi. U wschodnich, głębszych brzegów pasą się liczne stada wielorybów (koraje). Nie wyzyskują jednak Korejczycy tych bogactw w należytym stopniu, gdyż ich żeglarstwo i rybołówstwo wskutek odpędzenia ludności od brzegów bardzo podupadło i zaczyna zaledwie się odradzać. Zato tłumnie przyjeżdżają tu Japończycy dla połowu ryb, morskiej kapusty i trepangów. Dwa towarzystwa rosyjskie i japońskie polują rok cały na wieloryby korejskie, posuwając się za stadami tych ssaków w zimie ku południowi, a w lecie na północ. Wieloryby korejskie należą do drobniejszych gatunków, zwanych przez wielorybników „pasiatymi" od zmarszczek, w jakie składa się ich wielki, biało-perłowy brzuch. Większa odmiana, „niebieska," nie ma fałdzistego brzucha, jest rzadszą i ceni się o wiele wyżej. Wielki wieloryb biegunowy nigdy nie pojawia się w tych wodach.

Kręci się u brzegów Korei dużo rekinów, drętw i wielkich, jak małe wieloryby, łupieżców, które jak wojsko przeciągają bardzo licznymi nieraz zastępami, pożerając i płosząc po drodze stada ryb i morskich ssaków. Wieloryby uciekają od nich, jak szalone i giną na długo u brzegów.

Niewątpliwie, że Korea ze względu na rozmaitość swej zwierzyny ma prawo do nazwy kraju łowieckiego, ale co do ilości osobników ustępuje o wiele nietylko takim gniazdowiskom zwierzęcym, jak Ceylon, lecz nawet przyległej wschodniej i północnej Mandżuryi. Grubego zwierza odnaleźć dość trudno, gdyż ma wszędzie moc nieprzystępnych kryjówek, tygrys stale znika, gdy go szukają, łatwo jedynie o bażanty, które trzymają się w pobliżu zbóż, oraz o kaczki i gęsi, w czasie wiosennego i jesiennego przelotu chętnie sadowiące się na nieobsianych albo już obranych, błotnych polach ryżowych. Prócz tego w pobliżu wiosek lata mnóstwo dzikich gołębi, a w zbożach kryje się tysiące przepiórek.

Ptactwo łowią Korejczycy w wielkiej ilości za pomocą sieci, stryczków, potrzasków oraz sokołów przyuczonych specyalnie. Te ostatnie z powodu złej tresury rwą zwykle zdobycz, tak że myśliwy musi wciąż się za nimi upędzać, co czyni polowanie bardzo nużącem.

Grubego zwierza, łącznie z tygrysem, łapią krajowcy najchętniej za pomocą maskowanych ziemią i liśćmi dołów.

XI Hau-bulang. Szkoła w wiosce Phenamu-sej. Oświata.

O dziesięć „i" (5 wiorst) od noclegu minęliśmy małą, górską wioseczkę, otoczoną marnemi polami niezżętej jeszcze czumidzy i grzędami wpół-zwarzonej sałaty. W zacieniach szop dostrzegłem wiązki suszącego się tytoniu, a nieopodal wieśniacy zwozili skoszony groch, ładując go do wielkich, sznurowych sakw, przewieszonych na obręczach przez grzbiety wołów. Zwierzętom nogi tylko i rogate łby wyglądały z pod kopic nałożonych na nie grochowin. Zimny zrana dzień rozgrzał się; chmury znikły i niebo zajaśniało wysokie, błękitne i promienne; sinawe góry mdlały w oddali w gorących oparach, a wokoło, jak okiem sięgnąć, po same wręby doliny, po spękane stocza wiszarów, przelewały się w długich falach żółte, skłębione wichrem oczerety. Droga wśród nich to biegła prosto, jak strzała, to nikła za niespodzianym zakrętem lub zapadała się w niewidzialnym wądole, aby znów wypłynąć, jako biała pręga na płaskim garbie odległego pagórka.

Gdy znikła nam z przed oczu wioszczyna, kraj wydał się zupełnem pustkowiem; jedynie wicher świstał i stukały kopyta naszych koni po twardej drodze. Wtem przed nami otworzył się niespodzianie głęboki jar z napół zamarzłą rzeczułką; konie poczęły ostrożnie schodzić po wąziutkim gzemsie opoczystej dróżyny, pokrytej miejscami w przysłoniach siwym szronem.

Rzeczułkę przebyliśmy w bród, poczem znowu wdarliśmy się na trawiastą płaskowyżynę i znowu po paru godzinach jazdy wśród szumiących osok dotarliśmy do nowego wąwozu. Na dnie, w ślicznym, sosnowym gaju, nad rzeczką Ten-hań, rozłożyła się duża wieś Hau-bulang, gdzie w pobliżu miał według podań zginąć król-ludożerca. Parów rzeki tworzy tu dość obszerną kotlinę, pełną uprawnych pól i ogrodów; w dali widać liczne sioła po obu brzegach rzeczki, w ramach pól sałaty, której jaskrawa zieloność ostro i wesoło odrzynała się od srebrnej wody na burożółtym, jesiennym krajobrazie.

Od wsi Hau-bulang czas jakiś dążyliśmy podgórzem zachodniego łańcucha doliny wzdłuż krawędzi wąwozu lewego brzegu rzeki Ten-hań. Miejscowość mocno sfalowaną porastały karłowate krzewy i wciąż te same gęste, wysokie osoki. W paru miejscach spostrzegłem obszerne łysiny, które wydały mi się świeżo zżętemi rżyskami. Omyliłem się jednak, pól wcale nie było na górnem piętrze płaskowyżyny, a halizny utworzyły się przez wykoszenie traw na opał. Parę „i" dalej kilku wieśniaków zajętych było żęciem oczeretów i ładowaniem ich we wspomniane powyżej, dowcipne bycze juki, umożliwiające zwózkę snopów i siana z najstromszych pochyłości.

Całą drogę dokuczał nam silny, zimny wiatr północno-zachodni. Okolica zwolna zaludniała się, zjawiały się wioski. O trzy mile (40 i) od noclegu zatrzymaliśmy się na obiad w dużem siole, otoczonem szerokim kobiercem pól zoranych i zasianych. Ale obok widać też było niwy tylko co zżęte, zastawione kopicami snopów. Ryżowych pól jeszcze tu niema, wieśniacy sieją wyłącznie proso gorszego gatunku, owies, jęczmień, grochy, uprawiają tytoń, sałatę i rzodkiew. Śniegu oczekiwali lada dzień, a spadają tu one obficie i leżą długo. Widziałem we wsi coś podobnego do sanek, widocznie sporządzano je do rychłego użytku. Ma-phu nazwał wieś dziwacznie — Phe-na-mu-sej.

Dowiedziałem się, że istnieje w niej szkoła sielska (södani) i poszedłem ją zwiedzić. Mieściła się w głębi brudnego podwórka, w wewnętrznem skrzydle domu. Odszukanie jej ułatwił mi straszny, rozlegający się wewnątrz hałas; dziesiątek dziecięcych głosów wykrzykiwał rozmaite dźwięki. Gdym otworzył małe, prowadzące do wnętrza drzwiczki, uderzył mię przedewszystkiem ostry, przykry zaduch. Głosy umilkły, jakby kto nożem uciął. Z początku nic nie rozróżniałem, oślepiony przejściem z jasnego dnia w głęboki mrok. Szkoła miała tak małe okienko, że ćwiczono się tam raczej w kocich sposobach wi-

---

A dziś... Dziś ma odpoczynek.

Została się sama, rada, że nikt na nią źle nie spojrzy, nie powie jej nic złego.

Kto wie, jakby w cerkwi było... Może wygnaliby ją, a przynajmniej obśmieli.

Bo to już widno, ten jej grzech... Duszno jej w chałupie. Wyjdzie, schowa się w pasiece, na pszczoły patrzeć będzie. Lecz teraz, kiedy ją zawiał wiatr od pól, gdy widzi ludzi spieszących do cerkwi, przypomina sobie tak żywo, jak od dziecka, co roku, w ten dzień biegła z nimi ochotnie, jak się cieszyła, patrząc na Chrystusa, wyrzeźbionego z drzewa, co stał na ołtarzu w czerwonej sukni, z długimi włosami, spadającymi na ramiona, z chorągwią w ręce, z barankiem u piersi.

Ale On by może był nierad, gdyby ją ujrzał w cerkwi, w grzechu nieodpuszczonym.

Możeby spojrzał na nią surowo, ręką którą trzyma chorągiew, wskazałby jej drzwi... I wtenczas pewnie byłaby już na wieki przeklęta, ona: ladaco — gałganica.

Nie, ona nie pójdzie, dziś się czegoś boi tego Chrystusa, tych ludzi biało ubranych, wymytych na święto, z włosami lśniącymi świeżem masłem, z sumieniem rozgrzeszonem. I w tej chwili przypomina jej się inny Chrystus, ten biedny w kapliczce za wsią, przybity do krzyża, z ranami, opływającemi krwią, co zda się ściekniе po krzyżu na zioła rosnące pod kapliczką. Przypomina sobie, jak dziecku już żal jej go było, że taki sam na polu, czy mróz, czy upał, czy burze.

Przychodzi jej na myśl, jak rwała wtenczas kwiaty na łące, jak plotła we wianek rozchodnik, jak darła się potem przez tarń na wzgórze, by Mu zawiesić kwiecie u nóg. A potem całowała, głaskała te nogi, przybite jedna na drugiej gwoździem do drzewa.

Co on też tam dziś robi?

Tak dawno go nie widziała... Ona go się nawet nie boi, On taki bardzo biedny, nikomu by nic złego nie zrobił.

. . . .

Jewka przełazi przez płot pasieki i miedzą wśród pól, zarosłą głogiem i tarniną, idzie, wykrada się za wieś, gdzie stoi na wzgórzu kapliczka wśród lip.

* * *

Zapomniała Jewka, siedząc skulona w w suchem zielu zeszłorocznem, obrastającem kapliczkę, że co roku, w pierwsze Święto Wielkanocne idzie tu z cerkwi procesya. Zapomniała o niej. Oczy jej, wpatrzone w głowę Chrystusa, owiniętą cierniową koroną, zdają się mniej trwożne, mniej smutne. Tylko za każdym wystrzałem z moździerza na podwórzu cerkiewnem dziwny dreszcz wstrząsa skulonem jej ciałem. Wówczas wzrok dziewczyny biegnie z trwogą ku błoniom za wsią, kończącym się siną smugą lasu, biegnie ku nim z trwogą ściganego, dzikiego zwierza, kiedy się ogląda za borem, za gąszczą, chcąc się w nich ukryć. . . . .

Lecz teraz cisza nastała wielka. Umilkły strzały i rozmodliło się wszystko, w jakiemś niby omdleniu, spokoju pełnem.

Siedzącą pod figurą dziewkę rozebrało, aż od tej ciszy, tego tłumnego powietrza wiosennego, przepojonego zapachem ziemi.

dzenia, niż w naukach *). Dopiero po dłuższym czasie rozpoznałem gromadkę biało ubranych, brudnych chłopaków z włosami zaplecionymi w warkoczyk, siedzących na matach pod ścianami. Naprzeciw drzwi, na małem wzniesieniu umieścił się nauczyciel (sy-syn-i, sen-saen-i — z chińskiego) w wielorogim, włosiennym bereccie, przed nim na niziutkim stoliczku leżał papier, pędzelki i stała tuszownica chińska do pisania. Był widocznie, nie mniej niż jego uczniowie zdumiony i zaciekawiony mojem pojawieniem się. Włożył więc przedewszystkiem na nos ogromne okulary w szyldkretowej oprawie... Bądź co bądź dodaje to powagi!.. Tak uzbrojony zagadnął mego ton-sę. Tymczasem zbliżyłem się do dzieci i spróbowałem zajrzeć do ich książek i kajetów. Nie broniły mi tego, ale gdym poprosił, aby dalej czytały swe lekcye, uparły się i nie posłuchały nawet nauczyciela. Jeden tylko chłopaczek zaczął coś bąkać, wskazując ogromną wskazówką na rząd wielkich hieroglifów. Była to pewnie owa słynna książka „tysiąca znaków,“ podwalina wszelkiej nauki chińskiej. Z boku każdego hieroglifu na prawo stał napis korejski jego wymowy, a na lewo jego znaczenie korejskie. Rozumie się, że dzieci uczą się przedewszystkiem czytać po korejsku, co wcale nie jest rzeczą trudną, gdyż alfabet korejski „ön-mun“ ma wszystkiego 44 litery (25 samogłosek i 19 spółgłosek). Tem tylko różni się od europejskiego, że dzieci uczą się nie poszczególnych liter, lecz odrazu sylab. Litery korejskie są łatwe, przedstawiają kombinacye kresek i kółek, pokrewne cokolwiek i japońskiemu alfabetowi dźwiękowemu („katagana“ i „karagana“). Piszą Korejczycy po chińsku z góry na dół; stronicę również po chińsku zaczynają od prawej strony, a książkę od końca.

Ale umiejętność pisania i czytania po korejsku uważane są jedynie za środek pomocniczy do poznania pisma chińskiego, od którego zaczyna się prawdziwa nauka. Trzeba wyuczyć się „tysiąca znaków,“ z których żaden nie powtarza się, aby pójść dalej w zgłębieniu chińskich klasyków i ich hieroglifów. Dzieci, nawet dorośli czytają zawsze głośno i śpiewnie, jak to czyni po dziś dzień wielu Japończyków. Często widziałem w ogrodach samotnych czytelników, mruczących rytmicznie odczytywane wyrazy. Obecnie, gdy wpływy chińskie upadły i nauka europejska, śladem handlarzy i żołnierzy europejskich, wtargnęła nieśmiało do Korei, zaczęła się szkoła korejska zmieniać, a język korejski i piśmienność nabierać powagi. Od 1894 r. nawet chińska gazeta rządowa „Dzo bo“ *) wychodzi w mieszanym chińsko-korejskim języku. Upadły dawne szkoły, oparte na wiedzy chińskiej i urządzone według chińskiej mody, z nieskończenie długim szeregiem lat, poświęcanych zgłębianiu literatury i filozofii chińskiej **). Straciły znaczenie urzędowe, wspaniałe egzaminy, dające prawo zgodnie z prawodawstwem chińskiem do stopnia naukowego i służby państwowej. Zresztą te egzaminy już dawno utraciły wszelką powagę, porażone ogólnym rakiem życia korejskiego — sprzedajnością i nepotyzmem. Pierwszy wyłom w tej twierdzy chińskiego wykształcenia zrobiło prawo „ym,“ bez egzaminów dopuszczające do urzędów potomków ludzi zasłużonych krajowi; przez tę furteczkę weszły wpływy i przekupstwo, niszcząc zupełnie u osobników z warstw ubogich chęć do pracy i nadzieję polepszenia swego losu. Doszło do tego, że król Chiön-dzon (1834 r.) otwarcie zaczął kupczyć dyplomami, a ministrowie, rozumie się, utrzymali i nadal ten wielce korzystny dla nich zwyczaj. To odstręczyło wszystkie lepsze jednostki od współubiegania się na polu naukowem. Wiedza czysta uciekła do klasztorów buddyjskich, do bibliotek i pracowni prywatnych miłośników.

Dopiero rewolucya w Japonii, niezwykły rozwój tego kraju, konieczność otwarcia granic dla handlu wszechświatowego, wymuszona przez tę samą Japonię, wreszcie zwycięzka jej wojna z Chinami wstrząsnęły Koreą i obudziły w lepszej części jej inteligencyi świadomość własnej niedoli i pragnienie poprawy. Pod wpływem Japonii ocknęła się dawna cześć dla nauki.

(C. d. n.)

W. Sieroszewski.

*) Inne szkoły ludowe, które widziałem później, zupełnie były do tej podobne.

*) Do 1894 roku gazeta ta właściwie nie wychodziła, lecz na wzór gazety Pekińskiej robiono jedynie odpisy z rządowego oryginału, który zwał się „Dzo-bo“ i był sprawozdaniem Izby Pośrednictwa (Syn-[illegible]

**) O konfucyanizmie, który niegdyś detronizował królów korejskich, taką znajdujemy wzmiankę w nowych czasach. „Minister oświaty prosił rozmaite departamenty, aby wyznaczały na lepsze miejsca studentów szkoły Konfucyusza. Minister wojny odpowiedział że jego departament nie potrzebuje usług tych ludzi, gdyż wiedza konfucyańska jest w nim mało używana. Stąd departament ze smutkiem zawiadamia, że nie może naznaczać osób poleconych. (The Korean Repository, 1897 y. Feb. p. 79).

ŻYCIE SPOŁECZNE

Wchodząc w życie...

II.

Wchodząc w życie, stajemy przed nieznaną nam mocą, która przeraża nas i pociąga swą złożonością, swem napięciem grozy i uroku, czarem, któremu nikt oprzeć się nie zdoła. Z czem wchodzimy w życie, a z czem przejść przez nie bez pochylenia czoła możemy?

Życie — potęga, wszystko obejmująca, wymaga wiele i obiecuje wiele. Obejmijmy myślą zastępy tych, którzy o tej dobie czasu wchodzą w życie, każdy, rwąc się ku niemu z wielkiem upragnieniem, każdy, wyciągając ręce z błagalnym lub grożącym okrzykiem: Przyjdź, o życie, daj wszystko, czego łaknie mój duch! Mając jedyny probierz, dozwalający stawiać horoskopy, drobne, mrówczo drobne fakty, wytworzone przez ogólną atmosferę, stan umysłów, wszelkie właściwości ogółu, którego owo pokolenie jest nową gałęzią, wypuszczoną w kierunku przyszłości, ujrzymy przed sobą ni to smutny, ni to radosny, lecz poważny i w oczy bijący obraz wielkiego przeciwieństwa. Zjawisko to uzależnia wiele czynników. Weźmy je, jak się ono przedstawia w stanie statycznym.

Wszelkie pojęcie, uogólniające zrozumienie pewnych faktów przez cały szereg jednostek, powstaje pod wpływem kultury danej doby; szerokość horyzontu myślowego i uczuciowego, wytrwałość i polot trudu mózgu i serca stanowi o treści tych pojęć. Do nich należy pojęcie życia. Otóż, uderzająca jest u nas przepaść, oddzielająca owo uogólnione życie (zwykle zwane teoretycznym poglądem na świat), powstałe w świadomości jednostek, lecz milcząco aprobowane przez ogół, od jego przejawu w czynach tegoż ogółu, czyli w tak zwanem życiu praktycznem.

Najwięcej się to uwydatnia wśród młodzieży, wśród tych, co wchodzą w życie. Wsłuchajmy się w ich rozprawy, dyskusye, zapał dla idei, porywy sił potężniejszych i pojęć przenikają ich weselem i podziwem. Lecz po opuszczaniu zakładu naukowego — gdy wejdą w życie — jaka zmiana! Dziewięć dziesiątych przeistacza się, jakby pod dotknięciem różdżki czarodziejskiej; troska o utrzymanie się na powierzchni — zwykle

---

Głowę do ziół przycisnęła. Zapomniała o swej doli, o hańbie. Zasnęła.

Tymczasem od wsi, od cerki rozwija się powoli drogą, jakby wstęga.

Procesya idzie, a śpiew jej płynie, jak kołysanka, cichy z początku, falami powietrza ku figurze niesiony. Jewkę ten śpiew jeszcze głębiej do snu kołysze.

Na czele pochodu idzie ksiądz, staruszek w czerwonym, złotem wyszywanym ornacie. Za nim bractwa niosą chorągwie, jedne długie, powiewne, różnokolorowemi wstęgi rozwiane na wiatr, drugie rozpięte na drzewcach w kształcie obrazów.

Słońce złoci siwy włos księdza, wicher rozwiewa go srebrnym wieńcem dokoła głowy. A starzec wpatrzony w zielone runie pól, wsłuchany w gwar ptaków po gajach, krzyżem świętym żegna świat na okół. Z dłoni jego, wzniesionych w niebo, zdaje się spływać jakaś moc święta, zaziemska:

Błogosławieństwo niwom, które mają rodzić.

I łąkom zieleniejącym się błogosławieństwo, i gwarom ptactwa w oczeretach.

I pszczołom, stojącym na kwiatach iwy.

I motylom świeżo narodzonym, że zdobią świat.

I płodowi wszelkiemu, który pragnie życia.

I ludziom po wszej ziemi, którzy sprawiedliwi są przed panem.

I tym biednym, zbłąkanym, co trwają w błędzie.

Błogosławieństwo na bory sine po za wsią, i na cały świat...

. . . .

Jakieś dziwne rozmodlenie w powietrzu. Jakby łaska niewidzialna biła od tego starca, płynęła mu z oczu, z rąk, z serca, z duszy, do wszystkich oczu, do wszystkich serc, do wszystkich dusz. Jakby się niebo rozwierało i ciche, słodkie moce spływały zeń na ziemię. Z jej woni, runi zbóż z złota słońca rodzi się wielka, promienna pieśń dziękczynna, chór pełen litości, hymn przebaczenia.

. . . .

Śpiew potężnieje. To już nie kołysanka, to ze stu piersi modlitwa, co pod niebo błękitne dzwonem prośby bije.

I nagle budzi się Jewka. Wzrok przerażony wbija w białą, krętą, piaszczystą wstęgę drogi. Dostrzegła procesyę. Jak zwierz spłoszony zrywa się z darni i przez badyle suchych ziół, pomiędzy krzetarni i głogu, rozgarniając je rękami, zgięta wpół, na czworakach przedziera się przez gąszcze, choć one krwawią jej ręce, twarz, czoło...

Nie pyta o to.

Uciec! uciec, byle prędzej!..

Nabiegłe krwią, opętane lękiem jej oczy całą siłą strachu wytężają się w stronę, gdzie za wsią sinieje bór. Coś ją ciągnie do niego, jakiś instynkt samozachowawczy, jakiś głos jej doli nieszczęsnej... Znikła w drzewach lasu.

Kiedy procesya stanęła przed kaplicą, już chwiać się przestały roztrącone przez Jewkę suche badyle ziół.

i naturalne dążenie człowieka do zdobycia podstawy bytu, jako środka do szerzenia swych poglądów i osiągnienia ideału — troska ta zamienia się w gorączkowe uganianie za największą dozą piany życiowej. Dopóki są razem, dopóki łączy ich jeden zakład naukowy, mają wspólne uniesienia i, co najważniejsze, szczery szacunek dla idei, wstyd, zmuszający każdego kryć się z pustką i lichem karyerowiczostwem. Później — mundur się zrzuca, a szeroki światopogląd składa do archiwum pamiątek „młodości" i znaczna większość naszej, wchodzącej w życie z przygotowaniem fachowem, młodzieży pomnaża bez wysiłków oporu zastęp „burżujów," na których pluła i których łajała za ospałość, sybarytyzm itp. Jeden ze studentów określił to mniej więcej udatnie w sposób następujący: „jak każdy z nas po dojściu do pełnoletności musi odbyć służbę wojskową, tak „przyjęto jest," aby każdy odbył i służbę ideału. Główną rolę odgrywa tu przymus z zewnątrz. Służbę ideałom zbywamy podczas pobytu w zakładzie naukowym, to najwygodniej i... najmodniej." Jabym do tego trafnego określenia dodał: podobnie jak usiłujemy czas służby wojskowej skrócić do minimum, tak samo czynimy ze służbą ideału. Żadnej zresztą winy w tem niema; wszelkie zachcianki prokuratorskie są mi obce. Sądzę tylko, że należy przypominać inteligentnemu ogółowi pewne zagadnienia w celu jak najwłaściwszego uwypuklenia pewnej kwestyi i wykazania nici, wiążących je tak z poszczególnymi objawami, jak z całokształtem.

Pisałem w poprzednim artykule, że jedną z przyczyn obecnego stanu wchodzących w życie jest duchowa atmosfera, wytwarzana przez ogół już... dojrzały.

Młoda dusza (choć w najsłabszym stopniu) posiada jakieś zalążki indywidualne; jednak tło ich uczuciowe jest do pewnego stopnia wspólne; tem tłem jest istnienie, a raczej możność istnienia uczuć indywidualnych. Do nich należy wrazliwość na zdarzenia i fakty zewnętrzne oraz odruchowa na nie reakcya uczucia. U większości proces ten przejawia się słabo i prędko gaśnie. Obok wrażliwości stoi tęsknota, zdolność tęsknienia — nic ona nie ma wspólnego z ślamazarnym sentymentalizmem i pseudo-poetycznem niby rozmarzeniem; jest nią męzka potęga uczucia, stojącego silnie przy ziemi a wyrywającego się w przestworze, łaknącego czynu i słońca, potęga wrzącego i grożącego wybuchem wulkanu. I to uczucie w przejawie swoim przechodzi różne stopnie; doszukać się go można w najprzeciętniejszym osobniku. Ono wzrok młodości zwraca w przyszłość, przez nie młodzież staje się owym „niesfornym żywiołem, wyłamującym się z norm i formułek.

Po za temi „cnotami" każdy młody posiada wielki oręż życiowy — świeżość ducha, niesteraną dłuższem wzajemnem tarciem, co tak wypełnia nasze życie, wielką moc odporności. Co czas z niemi robi? Jak powierzchownie, jakułudnie świecą one!

Spytajmy teraz, co większość z wchodzących w życie czyni ze skarbem swej młodości?

Bierze ona od poprzedzającego ją pokolenia wszelkie jego właściwości. Tu wrażliwość młodych umysłów wyraża się ujemnie. Kształtujące się dopiero dusze nie posiadają dostatecznej ostrożności wobec wpływów, działających z zewnątrz, nie mają indywidualnego wyrobienia, samodzielności; siły ich budzą się, a będąc u większości z natury nikłemi, prędko marnieją; maniera zabija je — prędzej lub później, lecz, niestety, tak często. Fakt ten powinniśmy ciągle mieć na uwadze.

Jeżeli mówimy o obowiązkach społecznych, obowiązkach nienarzucanych przez myśl lub tradycyę przeszłości, lecz wypływających z samopoczucia jednostki, jej wszechstronnego rozwoju, to największym obowiązkiem społecznym jest chronienie pokoleń dojrzewających od zaduchu i zgniłego powietrza, zapewnienie im swobodnego rozwoju bez naruszania i wciskania w nich gotowych poglądów. Bo każda rzecz, choćby najszlachetniejsza, przyjęta, jako wytwór cudzego trudu, zawsze mieć będzie cechę gwałtu, czegoś, co sztucznie zostało przeszczepione a nie wyrosło z krwi i kości.

Tymczasem młodzież nasza, wchodząc w życie, znajduje co innego. Przyjrzyjmy się dniom dzisiejszym. Mają one pewien objaw dość pożądany: wobec ważnych wypadków ogół do pewnego stopnia budzi się z letargu, widać pewne zaciekawienie, pewne oczekiwanie. To na pierwszy rzut oka. Owo zaciekawienie jest jednak wyłącznie zaciekawieniem, to jest uganianiem się za sensacyą mózgu, lubiącego błyskotliwość, ślizganie się po powierzchni. Pod tem wszystkiem kryje się prąd głębszy, lecz nieszczęściem młodzież (szczególniej ta, wchodząca w życie) jest od głębi tej oddalona i często nawet nie wie o jej istnieniu. To, co napotyka, co ją na progu ujmuje w ramiona, to rzeczy znane, bardzo znane — ospałość myśli, słabość uczucia, maniera, szablonowa czułostkowość — te zalety najwięcej działają, mają wpływ największy. A po za niemi w życiu jest tyle nieznanego, tyle wielkiego. Lecz pierwsze w nie stąpnięcie wiedzie za sobą tak fatalne następstwa!. Złożoność, ciągły ruch, ciągła potrzeba silnego, indywidualną pracą myśli i uczucia zdobytego gruntu pod nogami — zastają nas nieprzygotowanymi. Najtragiczniejszem jest to właśnie. Prędko się też nużymy; mózgi nie mogą, nie umieją samodzielnie pracować, serce — tęsknić i łaknąć czynu; wchodzimy w życie jako igraszka ślepego wiatru, który nas to w tę, to w inną miecie stronę; wchodzimy już zmęczeni, na widok głębi dostajemy zawrotu głowy; obawiamy się nawet myśleć o dążeniu na szczyt; idziemy jak maryonetki, poruszane ręką utartości. Wchodzimy w życie bez siły do życia.

br.

LISTY GALICYJSKIE.

Wybory na Rusi. — Lewica demokratyczna. — Romanowic. — Ustawa o wychodztwie. — Oszczędności Galicyi.

Wybory na Rusi odbyły się tak, jakem pisał w ostatnim liście. Wszyscy posłowie secesyoniści powrócili do sejmu z wyjątkiem jednego Barwińskiego, który został pobity na głowę przez starorusina Effinowicza, energicznie popartego przez polskich szowinistów. Secesyoniści odzyskali swoje mandaty, gdyż czynniki rządowe nietylko nie stanęły im na przeszkodzie, ale nawet pomogły „opozycyonistom." Charakterystyczną ilustracyą tego stosunku było postępowanie starosty w Rawie ruskiej. Urzędnik ten powołał do komisyi wyborczej... kandydata rusińskiego, który następnie, jako przewodniczący tej komisyi, sam na siebie głosy odbierał. Dotychczas znaliśmy nadużycia starostów podczas wyborów na niekorzyść kandydatów rusińskich, w tym wypadku mamy do czynienia z czemś zupełnie przeciwnem.

Żadna z kontrkandydatur polskich nie uzyskała większości, choć niektóre z nich zdołały skupić koło siebie dość znaczną liczbę głosujących, w Rawie ruskiej i Lisku ilość głosów, oddanych na kandydatów obydwóch narodowości niebardzo od siebie odbiegała. W Rohatyńskiem i Zbarażskiem kandydaci polscy uzyskali ich połowę z oddanych na kandydatów rusińskich. To świadczy, że lud rusiński w małym tylko stopniu jest uświadomiony narodowo i politycznie i, że organizacya partyj rusińskich wśród tego ludu jest bardzo słaba. W gruncie rzeczy t. zw. „Komitet Narodowy," mający za zadanie organizowanie tego ludu bierze się do pracy tylko dorywczo— przed wyborami, w normalnym jednak rozwoju życia ludu nie odgrywa żadnej roli. Skutkiem tego przy ostatnich wyborach na zwolenników „Komitetu narodowego" padło 928 głosów, na innych kandydatów (tak polskich, jak rusińskich) — 901, a więc tylko o 27 głosów mniej. Wszystko to razem wzięte będzie musiało posłom rusińskim odebrać ochotę do powtórzenia eksperymentu z „secesyą," gdyż w razie nieprzychylnego stanowiska rządu i jakiej takiej zorganizowanej kontragitacyi ze strony Polaków, może się stać, że żaden z secesyonistów nie wróci do sejmu — ku wielkiej radości konserwatystów, i tak już posiadających olbrzymią przewagę w autonomicznem ciele ustawodawczem.

Istnieje, coprawda, t. zw. „lewica sejmowa," ale jest ona poprostu przeżytkiem dawnych czasów, kiedy istotnie posłowie demokratyczni stanowili to, co się we wszystkich ciałach parlamentarnych zwykło nazywać „lewicą", tj. opozycyę przeciwko rządowi i popierającym go partyom. Obecnie „lewica" różni się od posłów rządowców tem jedynie, że siedzi po lewej stronie sali sejmowej. Posłowie do niej należący nie posiadają ani jasnego celu politycznego, ani żadnych dróg własnych. Gdyby nie to, że postanowili nie wypowiadać się zasadniczo w sprawach doniosłości pierwszorzędnej, jak reforma wyborcza, sprawa stosunku do różnych stronnictw krajowych i komitetu centralnego, — gdyby nie to, musieliby się rozpaść natychmiast. Nawet w sprawie reformy gminnej i administracyjnej zdobyli się jedynie na uchwalenie wniosku nadzwyczaj ogólnikowego. Nietylko w sejmie, ale i po za sejmem „demokraci" z lewicy najzupełniej się pogodzili z większością konserwatywną i, jeśli pominiemy kilkanaście tradycyjnych frazesów, używanych w uroczystych wypadkach przez prasę „demokratyczną," to i ta się od prasy konserwatywnej nie różni.

Niedawno rozstał się z tym światem ostatni w ścisłem znaczeniu tego wyrazu „demokrata galicyjski" - Tadeusz Romanowicz. Był to człowiek wielkiej wartości moralnej, nie mniejszych zdolności, pracowity, energiczny, sumienny, a jednak, pomimo to wszystko, jakże nikły i nieznaczny jest jego dorobek polityczny. Jak łatwo ten człowiek dawał się sprowadzać z drogi opozycyjnej klice stańczykowskiej. Bezsilność i brak wiary drobnomieszczaństwa galicyjskiego, którego rzecznikiem był Tadeusz Romanowicz, pętały mu stopy, nie pozwalały rozwinąć skrzydeł do lotu. Tak było za czasów, kiedy Romanowicz istotnie odgrywał rolę trybuna opozycyi. W ostatnich latach był już niczem — trupem politycznym, jak niczem jest ta grupa, której służył piórem i słowem. Ewolucya społeczno-polityczna Galicyi przesunęła środek ciężkości opozycyi dalej na lewo, ku warstwom ludowym. Ruch chłopski i robotniczy wysunął się na plan pierwszy i drobnomieszczaństwo galicyjskie cofnęło się przerażone, ażeby się zlać z grupami reakcyjnemi, sprzedać im swe siły za marną miskę soczewicy w postaci kredytu bankowego i poparcia komitetu centralnego przy wyborach itd. „Obrona ludu," która była hasłem „demokracyi" galicyjskiej zogniskowała się w rękach innych. Sama „demokracya" stała się dla postępu i rozwoju Galicyi gratem wręcz zbytecznym i tak samo szkodliwym, jak i stańczykierya, choć z natury rzeczy czynnikiem słabszym od niej i trzeciorzędnym, a przeto nie budzącym tej nienawiści warstw ludowych, co [illegible]

Sprawa emigracyi, stanowiąca w Galicyi kwestyę pierwszorzędnej doniosłości społecznej, ma być wreszcie uregulowana. Rząd austryacki ukonczył już prace przygotowawcze nad projektem ustawy, mającej uregulować tak emigracyę zamorską, jak i sezonową — za zarobkiem. Ustawa stawia sobie za cel ochronę wychodźców przed wyzyskiem i ułatwienie im znalezienia odpowiedniej pracy po za granicami państwa. Na razie o tej ustawie wiadomo tylko tyle, co podaje o niej *Czas* krakowski. Niestety, zdaje się, że przyniesie ona wychodźcom więcej strat i przykrości, aniżeli pożytku, zwłaszcza, co się tyczy emigracyi zamorskiej. Tę część projektu nowej ustawy *Czas* streszcza w następujący sposób.

„W kwestyi emigracyi stałej rozporządza projekt, że za nim zamysł wychodźstwa przejdzie w rzeczywistość, winni interesowani powiadomić o nim rząd. Stać się to zaś ma w tym celu, by władze rozpatrzyły, czy w istocie teren projektowanej emigracyi jest wolny i czy wychodźca ma dość środków po temu, by się na nim osiedlić. Ale nawet wydanie stosownej legitymacyi nie będzie miało tego znaczenia, jakoby państwo brało do pewnego choćby stopnia odpowiedzialność za sukces. Natomiast służyć będzie państwu prawo zakazywania wychodźstwa pewnym kategoryom ludności lub też do pewnych dystryktów. Stać się to może na podstawie danych, dostarczonych przez państwowe organy informacyjne a wskazujących, że emigracya pewnych ziem stanowczo niepomyślny wydać musi rezultat.“

To „prawo zakazywania wychodźstwa pewnym kategoryom ludności“ brzmi bardzo podejrzanie i wprost nie da się pogodzić z ustawami zasadniczemi Austryi, gwarantującemi obywatelom swobodne przenoszenie się z miejsca na miejsce. Ustawa w tem brzmieniu byłaby poprostu prawem wyjątkowem dla pewnych grup obywateli, wykonywanem w interesie innych — w danym wypadku obszarników. Gdyby taka ustawa została wprowadzona w życie, wychodźca galicyjski, i tak już nękany najrozmaitszemi szykanami, cierpiałby jeszcze skutkiem ustawicznego przekraczania niemądrej ustawy. Albowiem emigracya jest u nas ruchem żywiołowym, naturalnym, koniecznym, dobroczynnym i stwarzanie dla niej nowych przeszkód byłoby lekkomyślnem wywoływaniem nowych komplikacyj. Ustawa emigracyjna jest konieczna, ale powinna ona zapewnić wychodźcom opiekę przed wyzyskiem ajentów, zaopatrzyć ich w konieczne informacye, lecz nie krępować ruchu. Należy też spodziewać się, że w parlamencie zostanie poddana druzgocącej krytyce ze strony posłów ludowych, choć, właściwie mówiąc, nie wiadomo, czy projekt ustawy przyjdzie tak prędko pod obrady parlamentu, cierpiącego na obstrukcyę. W każdym razie pisma ludowe w Galicyi postępują bardzo praktycznie, już teraz nawołując do krytyki projektu rządowego i wszechstronnego wykazywania jego braków.

Świeżo wydany tom VII „Podręcznika statystyki Galicyi“ zawiera sporo cennego materyału dla charakterystyki ekonomicznego położenia kraju. Na uwagę zasługują zwłaszcza cyfry, dotyczące obecnego stanu i rozwoju instytucyj kredytowych: kas oszczędności, towarzystw zaliczkowych i spółek reiffeisenowskich. Cyfry te ilustrują znakomicie proces rozwoju zamożności ogółu ludności Galicyi.

Pierwsza kasa oszczędnościowa w Galicyi powstała przed r. 1844, ale aż do roku 1854, tj. przez 10 lat, była jedyną. W roku 1870 istniało ich już 10, w dziesięć lat później — 16, w 1890 r. — 25, w 1900 — 44. Jedna kasa oszczędności w Galicyi przypada dotychczas jeszcze na 1,734 kilometrów kwadratowych i na 166,271 mieszkańców, gdy w takich Niemczech jedna kasa przypada na 20 kilom. kw. i 30,000 mieszkańców. Świadczy to o ogromnem zacofaniu Galicyi na tem polu. Przyrost składanych w tych kasach oszczędności jest dość szybki. Kapitał wynosił:

w r.	1870	14,869,906 kor.
„	1880	53,187,704 „
„	1890	110,100,000 „
„	1896	157,104,000 „
„	1900	187,479,000 „

Na jednego mieszkańca Galicyi przypadało w 1900 r. 25,63 kor. wkładek w kasach oszczędności, wówczas gdy np. w rolniczych prowincyach Prus wschodnich na głowę liczono 60—100 marek. Co prawda i w Galicyi przeciętna suma wkładek wyprzedzała dotychczas stale stopień mnożenia się ludności, ale przyrost roczny tej sumy był nieznaczny.

Suma 187,479,000 . koron złożona była w r. 1900 na 222—923 książeczek oszczędności. Z tych więcej niż połowa wystawiona była na kwoty poniżej 200 koron.

Niżej 200 koron	112,953	50,67%
od 200 do 1000 kor.	62,508	28,04 „
„ 1,000 „ 2,000 „	27,801	9,78 „
„ 2,000 „ 4,000 „	15,008	6,73 „
„ 4,000 „ 6,000 „	6,409	2,88 „
„ 6,000 „ 8,000 „	1,783	0,89 „
„ 8,000 „ 10,000 „	845	0,38 „
ponad 10,000 koron	1,416	0,63 „

A więc w całej Galicyi, liczącej 7 milionów mieszkańców, tylko 1,400 osób posiadało w r. 1900 w kasach oszczędności więcej niż 10,000 koron.

Po za kasami oszczędności ludność galicyjska lokuje gotówkę w kasach zaliczkowych i reiffeisenowskich bądź w formie wkładek oszczędności, bądź jako wpłatę na rachunek bieżący albo udziału. W tych instytucyach fundusze wzrastały daleko szybciej, aniżeli w kasach oszczędności:

rok:	udziały:	wpłaty:
1880	4,938,000	[illegible]
1890	9,660,000	23,104,000
1897	17,716,000	56,409,000
1898	19,339,000	64,234,000
1899	20,742,000	71,343,000
1900	21,531,000	75,543,060
1901	22,177,000	84,802,000

W kasach reiffeisenowskich w r. 1902 znajdowało się 3,899,276 koron wkładek oszczędności i 207,657 kor. udziałów.

A więc kapitały prywatne wszystkich trzech kategoryj kas wynoszą około 400 milionów koron. Kwota ta powstała właściwie dopiero w ciągu ostatnich lat 20. Pokazuje się więc, że nietylko zmysł oszczędności, ale i dobrobyt ludności galicyjskiej pomału wzrasta — niestety bardzo pomału. Podzieliwszy bowiem sumę oszczędności przez liczbę ludności Galicyi, otrzymamy przeciętnie na jednego mieszkańca niespełna 60 koron, a więc daleko mniej, aniżeli w najuboższych krajach niemieckich.

Daleki.

Walka o prawo wyborcze kobiet
i Kongres międzynarodowy w Berlinie.

Międzynarodowy kongres kobiet, który w ostatnich dniach odbył się w Berlinie, poprzedziło powstanie związku wszechświatowego dla walki o prawo wyborcze kobiet. Tej sprawie, jako może najważniejszemu rezultatowi zjazdu przedstawicielek ruchu kobiecego poświęcimy trochę miejsca i czasu, choćby dlatego, że do konferencyi przystąpiły najpoważniejsze i najwięcej uświadomione jednostki, szerzące ideę równouprawnienia kobiet.

Dwa lata temu w Waszyngtonie postanowiono połączyć poszczególne stowarzyszenia narodowe, walczące o prawo głosu dla kobiet w jeden związek wszechświatowy. Ostateczne jego ukonstytuowanie odłożono do następnego kongresu międzynarodowego, chcąc w ten sposób skorzystać ze spotkania wszystkich jego delegatek. Podczas konferencyi stawiano wniosek włączenia obrad nad prawem wyborczem kobiet do sekcyi kongresu, poświęconej tej właśnie sprawie, lecz propozycya została odrzuconą i związek wszedł w życie jako samoistna i niezależna od kongresu instytucya. Przebieg kongresu dowiódł ostatecznie, jak słuszną zasadą kierowała się w tym względzie opozycya. Jeżeli bowiem na konferencyi dała się już uczuć różnica interesów, obyczajów, obowiązujących w różnych krajach, reprezentowanych przez obecne, a także różnica poglądów tych ostatnich, to cóż powiedzieć o kongresie międzynarodowym, który zgromadził takie mnóstwo najprzeróżniejszych, a często przeciwnych żywiołów? Na konferencyi np. związku dla walki o prawo wyborcze wywiązała się żywa dyskusya nad częścią jednego z punktów przedstawionego programu, gdzie jest powiedziane, że kobieta tak samo nie jest winna posłuszeństwa mężczyźnie, jak mężczyzna kobiecie; wzajemny stosunek obu płci dla ich pożytku należy oprzeć wyłącznie na wzajemnem porozumieniu i równych prawach. Większości delegatek wydało się zbyt śmiałem żądanie zniesienia posłuszeństwa kobiety względem mężczyzny, obowiązującego dotąd w wielu krajach tak prawnie, jak i religijnie. Ten punkt uległ więc zmianie, drażliwą kwestyę usunięto w zupełności. Trudno nie zauważyć, że fakt ten świadczy o niedostatecznej jeszcze niezależności w zapatrywaniach kobiet, walczących o swe prawa.

Do związku dla walki o prawo wyborcze kobiet przystąpiły: stan Victoria (Australia), Niemcy, Anglia, Holandya, Szwecya i Stany Zjednoczone. Przez pojedyncze członkinie reprezentowane są: Dania, Norwegia, Austrya i Szwajcarya.

Zjazd delegatek związku w celu wybrania zarządu i zoryentowania się w postępach idei odbywać się będzie co lat pięć. Do związku przystępować mogą stowarzyszenia za opłatą 5—10 dolarów rocznej składki, stosownie do ilości członkiń stowarzyszenia, oraz pojedyncze osoby za wniesieniem rocznej składki 10 dolarów; te ostatnie korzystają z wszelkich przywilejów i praw tak w działalności wewnętrznej, jak na zjazdach publicznych związku, prócz prawa głosowania.

Na prezydentkę honorową obrano jednogłośnie 84-letnią Zuzannę Anthony z Filadelfii, zdumiewającą zebrane żywością umysłu i werwą, jaką wniosła do obrad konferencyi. Na przewodniczącą czynną zaproszono Amerykankę, literatkę panią Catt. wyróżniającą się śród zebranych talentem krasomówczym, rzeczowością oraz wyrobieniem parlamentarnem; na wiceprezydentki: dr. Anitę Augsperg (Berlin) i p. Fawcett (Anglia).

Prasa codzienna niemiecka bardzo życzliwie powitała narodziny nowego związku. Tak poważny organ, jak *Frankfurter Zeitung*, poświęcił mu artykuł wstępny, stawiając kwestyę na bardzo racyonalnym gruncie. Nie chodzi o to, czy kobiety mogą osiągnąć, jak tego chcą uczestniczki konferencyi, *maximum* rozwoju umysłowego mężczyzny; należy raczej kwestyę ująć z wręcz przeciwnego punktu widzenia i zastanowić się, czy jest słusznem, aby tysiące kobiet, przewyższających inteligencyą tysiące mężczyzn, były pozbawione prawa głosowania? Każdy parobek, mający nader ograniczony horyzont myślowy, bierze udział w politycznem życiu państwa, lecz kobiety literatki, uczone, lekarki, pracowniczki w handlu i przemyśle nie posiadają

przywilejów wyborców, choć ponoszą obowiązki i płacą podatki, nałożone przez państwo.

Pouczające są głosy mężów stanu w nielicznych dotąd państwach, gdzie kobiety mają prawo głosu. Tak np. w piśmie *Sozialer Fortschritt*, wydawanem przez Sombarta, zabrał głos były prezes ministrów w Nowej Zelandyi, Reewes. Twierdzi on, że gdzie kobietom głosować wolno, korzystają one skwapliwie ze swego prawa. Udział ich w wyborach w niczem nie narusza porządku i w niczem nie usprawiedliwia ośmieszania i karykaturowania wyborców płci żeńskiej. Wszelkie przypowieści o zakłóceniu życia rodzinnego, zaniedbanych mężach, pozbawionych opieki dzieciach, wskutek dopuszczenia kobiet do życia publicznego, zniknęły już w Nowej Zelandyi, nawet we wspomnieniu.

Gdy przed 10 laty obchodzono w stanie Wyoming w Ameryce Północnej 25-letni jubileusz równouprawnienia politycznego kobiet, rząd wystosował oficyalny komunikat do wszystkich rządów świata cywilizowanego, podnosząc umoralniający wpływ kobiet na na politykę i zalecając dopuszczenie ich do głosowania.

Inaczej zapatruje się na równouprawnienie polityczne kobiet rząd niemiecki. Dał on niezbity tego dowód bezpośrednio, w chwili wejścia w życie nowego związku międzynarodowego dla walki o prawo wyborcze kobiet przy uchwalaniu nowego prawa w sądach handlowych. Na pierwszem posiedzeniu parlamentu, podczas roztrząsania projektu do nowego prawa, odzywały się energiczne głosy za dopuszczeniem do głosowania czynnego jak i biernego w sądach kobiet, pracujących na polu handlowem. Należy zaznaczyć, że liczba ich wynosi w Niemczech nie mniej jak 130,000. Komisya parlamentarna ograniczyła prawo wyborcze dla pracowniczek handlowych do funkcyi biernej, a więc nie mogłyby być wybieranemi. Na drugiem pełnem posiedzeniu oświadczył się rząd stanowczo przeciw dopuszczeniu kobiet wogóle do głosowania. Centrum przychyliło się do żądania rządu, lecz, nie będąc w komplecie, nie zdołało przegłosować wniosku komisyi. Przy trzeciem jednak czytaniu projektu na posiedzeniu parlamentu potrzebna większość się znalazła i wniosek udzielenia prawa wyborczego w sądach handlowych kobietom został odrzucony.

Jednocześnie przedstawiciele rządu, kanclerz Bülow i minister spraw wewnętrznych Posadowsky zainaugurowali rozpoczęcie kongresu kobiet zaproszeniem do siebie znacznej liczby wybitniejszych uczestniczek na wspaniałą ucztę. Sądząc z zachowania się gospodarzy domu, pełnych uznania i pochwał dla inteligencyi i dzielności wybitniejszych delegatek, można było przypuszczać, iż są najszczerszymi przyjaciółmi i zwolennikami równouprawnienia kobiet. To też podobno radykalniejsze przedstawicielki ruchu kobiecego, obecne na przyjęciach, wyraziły po niewczasie swe niezadowolenie, że nie były poinformowane o usposobieniu rządu dla sprawy kobiecej.

Obrady kongresu międzynarodowego kobiet trwały 6 dni; na zoryentowanie się przecież w materyale, którego dostarczyły rozliczne tematy i odczyty, wygłoszone na każdy temat, na gruntowną dyskusyę nad każdym, trzeba byłoby poświęcić całe tygodnie, a może i miesiące. Poruszając tę kwestyę, dotykamy kardynalnej wady zorganizowania kongresu. Zazwyczaj ilość tematów, poruszanych na kogresach międzynarodowych, bywa ograniczoną; o każdym wygłasza referat paru uczestników, poczem następuje wyczerpująca dyskusya i ewentualne uchwalenie wniosków. Każdy kongres ma na celu zoryentowanie się w postępach, osiągniętych na danem polu pracy, w kierunkach, jakimi działalność ma kroczyć w przyszłości, ma on być rozsadnikiem idei, której obrady są poświęcone. Kto jednak z obecnych na posiedzeniach kongresu berlińskiego mógł wynieść z obrad jasne pojęcie celu, jaki sobie założyły zebrane? Wygłoszono tu ni mniej, ni więcej, tylko 300 odczytów! Prasa niemiecka, pomimo życzliwości dla sprawy kobiecej, nie mogąc uchwycić charakteru posiedzeń, musiała ograniczać się do kilkowierszowych wzmianek o każdym z wybitniejszych odczytów.

Kongres podzielono na 4 sekcye: pierwsza poświęcona była sprawie wykształcenia kobiet; druga — sprawie zarobkowania i zawodom dostępnym dla kobiet; trzecia— kwestyi społecznych urządzeń i dążeń; czwarta — sprawie prawnego położenia kobiet. Posiedzenia sekcyj odbywały się w dzień; wieczory poświęcono na zebrania ogólne, wypełniono również odczytami, lecz bez dyskusyi.

(C. d. n.)

E. S.

FEJLETON.

PAMIĘTNIK.

Wyzyskiwanie położenia.

Nie wiemy, jak tam dyplomacya niemiecka „kuje żelazo póki gorące," bo jej kuźnia jest dla nas niedostępna; ale widzimy, jak się uwija jej prasa, ażeby kłopotliwe położenie sąsiadki wyzyskać dla swego państwa w targu o traktat handlowy. Gdyby nie wyraźna skłonność ces. Wilhelma do uprzywilejowywania ziemiaństwa, trudno byłoby pojąć, dlaczego ten stan tak dziś zapanował w przemysłowych Niemczech, że wyznacza rządowi kierunek jego polityki. Organy jego udają głośne niezadowolenie z dotychczasowego przebiegu układów, ale między wierszami tych rzekomych skarg dostrzedz można złośliwy uśmiech, a nawet dosłyszeć szept: Rosya musi nam zapłacić ustępstwami celnemi za naszą neutralność, za nasze przyjacielskie artykuły, za nasze (obłudne) odczuwanie jej radości i smutku, a delegaci niemieccy do tej sprawy byliby ostatnimi bałwanami, gdyby nie skorzystali ze sposobności. Zresztą cały świat to już zauważył. „Prawdopodobnie — mówi *N. Fr. Presse*— Rosya zechce pokryć swoje przyszłe potrzeby wojenne na rynku niemieckim, a Niemcy za tę usługę żądać będą ulg w kontrakcie handlowym. Dowodem jest wyrażenie się pewnego dostojnika państwowego w Berlinie przy obiedzie, wydanym na cześć delegatów. „Państwo - rzekł on — które żąda od nas pieniężnej pomocy w pożyczce — nie może nam chyba dyktować warunków w traktacie handlowym."

Dla nas ta kwestya ma pierwszorzędne znaczenie, a możliwe zwycięztwo Niemiec dotknęłoby nas szczególnie, gdyż ono wyraziłoby się przedewszystkiem w wysokich taryfach na zboże. A ponieważ rolnictwo nasze znajduje się rzeczywiście w ciężkiem przesileniu, więc ze zrozumiałym niepokojem oczekuje wiadomości, jak wysokim będzie ten mur, który je od Zachodu odgrodzi. Naturalnie pruscy „lichwiarze chlebowi" chcieliby, ażeby przez ten mur nie przedostał się ani jeden korzec zboża, ani jedna sztuka bydła lub trzody chlewnej. Takie dopiero wypadki okazują, ile to mieści się nienawiści klasowych w patryotyzmie narodowym. *a.*

Hetmani z karuzeli.

W jakiejś operetce niemieckiej śpiewają:

Von allen Bertas in der Welt
Nur eine Berta mir gefallt.

Zamiast Berty można wstawić Ludwikę, Maryę lub Julię, a również nazwisko publicysty, który w pewnem piśmie lwowskiem oświadczył, że „Warszawa jest sercem Polski, ale nie jej głową." Gdzie znajduje się głowa — odgadnąć łatwo z adresu redakcyi tego organu, a dlaczego ta polska głowa najbardziej podobała się autorowi — objaśnia piosenka niemiecka. Skoro tedy wiemy, gdzie mamy w potrzebie szukać rozumu politycznego, lżejszą nam już jest myśl, że go nie posiadamy, że tworzymy gromadę głupców, niedołęgów i doktrynerów. Jedna wszakże wątpliwość zachodzi nam drogę, mianowicie: o politycznych uzdolnieniach warszawiaków trudno sądzić w bardzo szczupłym zakresie ich ujawniania się; ale Galicya daje tak szerokie pola tego rodzaju talentom, że w niej żaden zmarnować się nie powinien. Mimo to nie widzimy, ażeby tam dla naszego „serca" wyrosła jakaś „głowa," odpowiadająca mu wielkością; widzimy natomiast masę główek-makówek, napełnionych frazeologią, która nic nie kosztuje i do niczego nie obowiązuje, przed którą nie idzie żaden jasny cel a za nią żaden czyn, lecz tylko pusty szum słów. Zamiast przez papierowe transmisye przesyłać nam swą siłę, której na pracę zamienić nie możemy, czy nie byłoby właściwiej i pożyteczniej na miejscu pokazać, jak ona potężnie działa? Galicya zaś da jej nietylko swobodę, ale zajęcie. Tam gdyby pod kokosz podłożyć tyle jaj, ile ona skrzydłami objąć zdoła i gdyby z każdego wylągł się Cavour, Deak, Gladstone itd. — nie załatwiliby całej roboty. Jakże wobec tego ogromu zadań mogą we Lwowie zachowywać się bezczynnie „głowy" polityczne i marnować swój geniusz na udawanie wielkich hetmanów, którzy dosiadłszy karuzelowego (w braku śpiżowego) konia, wskazują buławą niewidzialnym hufcom, dokąd iść i zwyciężyć winny. *s.*

Dobrodzieje.

Wiecznie ta sama historya. Kilka rodzin z wysokiej, bardzo wysokiej arystokracyi raczyło zakupić loże na szereg przedstawień w teatrze Rozmaitości. Naturalnie mamy w *Kuryerze Warsz.* całą ich listę z uzupełnieniem nazwisk tych, którzy lóż... nie kupili. Nic byłoby czem się tak dalece interesować. Tylko dziś, kiedy się coraz głośniej mówi o zmianie nastroju naszego ogółu, mały ten fakcik przypomina, żeśmy nie wyszli z dawnego kręgu. Ciągle jakiś pan, co ma dużo pieniędzy, robi łaskę, gdy raczy pójść do teatru, kupić coś w Warszawie, ba— nawet przyjechać i pomieszkać między nami. Jak dawniej, rozdziawiwszy usta z podziwu, patrzymy na objawy tej łaski, szepcząc: dzięki ci, wielki, że raczysz istnieć pośród nas.

Gdyby nasz ogół nie stał tak nizko pod względem poczucia swej godności, to pisma nie śmiałyby skarbić sobie publicznie przychylności tych, którzy noszą miano „najlepszych" dlatego, że są najgłupsi i w głupocie swojej najbezwzględniejsi. Wybitne dążenia i czyny arystokracyi i jej najmilszej siostry—plutokracyi nigdzie nie występują w tak brutalnej, w tak absolutnej sprzeczności z interesami i potrzebami społeczeństwa, jak u nas, pomimo że ciągle prasa (a przynajmniej znaczna jej większość) zajmuje się każdym ruchem byle kogo z owej „śmietanki." *r.*

Niema o czem pisać!

Wracamy stale, co numer, do tej samej kwestyi. Wiadomości urzędowe o wzrastającej liczbie robotników oddalonych dla

braku pracy nie ustają; toż samo źródło mówi o spustoszeniach, jakie poczyniła susza; nieurodzaj i głód spowodują nowy przypływ potrzebujących pracy do miast. Co się u nas robi w celu zaradzenia, a choćby złagodzenia klęski? Pogłoski o zamierzonych robotach miejskich ucichły, projekty się kołaczą, lecz do dzisiaj nic pewnego o nich nie wiemy. Żydom rozdają chleb, co chlubnie świadczy o inteligencyi żydowskiej. O chrześcian nikt się nie troszczy. Zresztą jedni i drudzy niech czekają; za parę miesięcy może projekt jaki zostanie wybrany i zatwierdzony. O tem, czem jest te parę miesięcy dla ludzi, niemających literalnie kawałka chleba, nikt nie myśli. Jakoś to będzie.

A tymczasem nasi dziennikarze rozpoczęli strajk myślowy, powtarzanie chronicznych skarg na brak tematów. Niema o czem pisać, niema czego przypominać ogółowi, niema na co zwracać jego uwagi. Głód, tysiące ludzi bez pracy, napady głodnych rzesz na wozy z pieczywem — cała ta okropna i groźna strona chwili obecnej, mogąca przejść w wielką katastrofę — wszystko to już się przestarzało. Prawda, takie rzeczy mogą spłoszyć wesołość letników, pozbawić prawdziwie zmęczonych dobrodziejstwa odpoczynku. Lecz tam, gdzie wisi nad głowami chmura, kryjąca burzę, tam nie może być mowy o zamykaniu oczu na istotny stan rzeczy. Ogół nasz tak łatwo zapomina, tak łatwo wpada w letarg, tak chętnie przesypia niebezpieczeństwo, więc obowiązkiem prasy przypominać, uwypuklać, uwydatniać aż do monotonności, aż do znudzenia.

Dosyć zresztą i innych tematów: kursa letnie w Zakopanem, brak miejsc w szkołach, wady gospodarki miejskiej itd. Jest o czem pisać, tylko należy mieć cześć i szacunek dla swego zajęcia, nie uważać go za szczebel do karyery. A przedewszystkiem należy mieć swój własny, trudem myśli zdobyty, szeroki horyzont poglądu na świat, należy gorąco i głęboko miłować sprawę swoją i pełnić służbę, a nie pozować i pustą, bezmyślną deklamacyą pokrywać ciasnotę i bezpłodność mózgu, suchość i oschłość serca. *b.*

Pojedynek.

Kur. Warsz. doniósł o pojedynku między dwoma studentami. Kwestya ta przypomina charakterystyczny objaw naszego życia. Myśmy tak zakrzepli w tradycyi, że wszelka nowość tylko lekko ohwyta się naszego mózgu, w krew nie przechodzi. Dla dzikiego stanowczo zwyczaju bezmyślne narażenie się jest wciąż u nas jeszcze objawem wysoce godnym. Sądząc z tego, co się pisze w gazetach, zdawałoby się, że tak nie jest. Ale u nas co innego się pisze, a co innego robi. Literat, biadający nad przeżytkiem średniowiecza i podający różne rady na usunięcie tej choroby, sam poczuwszy się dotkniętym... posyła świadków i żąda... zadosyćuczynienia. Kręcąc się w tem kole, pozostajemy niewolnikami zwyczaju a... piszemy o dzikości pojedynków. *z.*

BADANIA NAUKOWE.

Wewnętrzne warunki życia.

Warunki, dostarczane organizmom z zewnątrz, a niezbędne do normalnego biegu życia, zwiemy warunkami życiowymi, zewnętrznymi: zaliczamy do nich *odżywianie*, pewną *temperaturę*, *ciśnienie*, tlen do *oddychania*, wodę; inne, jak np. *światło*, nie należą do warunków niezbędnych, ogólnych, gdyż odgrywają tylko pewną rolę w bycie niektórych ustrojów.

Dla normalnego przebiegu zjawisk życiowych nieodzownie potrzebne są jeszcze inne stosunki, ukryte wewnątrz samego organizmu; zwiemy je warunkami *wewnętrznymi.*

Jeżeli wyobrazimy sobie drobną okruszynę żywej materyi (protoplazmy) w środowisku, posiadającem wszystkie pomyślne warunki zewnętrzne, to zdawałoby się, że ta okruszyna żyć będzie dopóty, dopóki nie dozna jakiejbądź przeszkody z zewnątrz.

Przypuszczenie takie jednak byłoby mylne. Za pomocą cienkiego lancetu możemy z łatwością oddzielić pod mikroskopem od żywej ameby odrobinę jej zarodzi; ta odrobina wykazywać będzie z początku wszystkie objawy życiowe: będzie poruszać się, oddychać, przetrawiać itp.

Pomimo jednak, że ta odcięta cząsteczka ameby pozostanie w tem samem środowisku, w tych samych warunkach zewnętrznych, normalnych, co i cały organizm jednokomórkowy, trwanie jej przy życiu będzie niedługie; powoli zacznie ona zamierać i już żadna siła do życia jej nie powróci.

Takie samo doświadczenie i z tym samym wynikiem zrobić możemy z każdą komórką dowolną.

Mamy więc w doświadczeniach tych pewną ilość materyi żywej we wszelkich warunkach życiowych zewnętrznych, a pomimo to ta materya przy życiu pozostawać nie może.

Rzecz prosta, że brak tu jeszcze jakiegoś niezbędnego warunku ogólnego; tym warunkiem jest— *łączność naturalna i wzajemne stosunki części organizmu*; na całej bowiem kuli ziemskiej nie znamy takich istot żyjących, któreby w całej swej masie, we wszystkich swych częściach były jednorodnemi; dotyczy to zarówno organizmów wielokomórkowych, czyli społeczeństw komórkowych, jak i istot jednokomórkowych — pierwotniaków, komórek oddzielnych.

Możnaby wprawdzie zauważyć, że w niektórych wypadkach możemy przecież zwierzętom lub roślinom odcinać pewne organy lub ich części, a ich byt normalny pomimo to zakłócony nie zostanie. We wszystkich jednak takich wypadkach tylko te części organiczne mogą być amputowane, które nie są dla organizmu niezbędne, bądź dlatego, że znajdują się nie pojedynczo, więc część utracona może natychmiast pod względem fizyologicznym być zastąpiona przez inne; bądź dlatego, że nie znajdują się w zbyt ścisłej łączności z całością i dlatego nawet po utracie ich organizm zachowuje swą całość.

Polip np. może być rozcięty na dwie części, i każda z nich samodzielnie żyć będzie dalej; osobniki kolonialne bez widocznej dla nich szkody również dają się od kolonii odcinać lub odrywać.

We wspomnianem powyżej doświadczeniu przy odcinaniu cząstki zarodzi od ameby, zamiera tylko ta część, która została izolowaną od łączności z jądrem komórkowem. Pozostała zaś (plazma z jądrem) żyć będzie pomyślnie w dalszym ciągu, ponieważ takich drobnych cząsteczek, jak ta, którąśmy odcięli, zawiera w swem mikroskopowem ciele jeszcze więcej.

Materya żyjąca znana nam jest obecnie na powierzchni ziemi tylko w postaci komórek, bądź samodzielnych (pierwotniaków), bądź skupionych — społeczeństwa komórek (organizmy wielokomórkowe). Zasadnicze jednak składniki każdej komórki występują w dwojakiej postaci: jako zaródź (plazma) i jako jądro.

W tych wypadkach, gdzie minimalna nawet ilość materyi jądrowej pozostaje w łączności z minimalną ilością zarodzi, zjawiska życiowe wewnątrzkomórkowe odbywać się mogą tak samo normalnie, jak i w komórkach całych, oczywiście — o ile wypełnione zostaną wszystkie niezbędne warunki wewnętrzne.

Dlatego to — wielką komórkę, np. wymoczka Stentora, możemy pokrajać na kilka kawałków zdolnych do samodzielnego istnienia, o ile każdy z nich zawierać będzie nieco zarodzi i cząsteczkę jądra. Przy pewnej wprawie nietrudno wcale przeprowadzić takie doświadczenie.

Jeżeli zaś komórka zostanie tak rozcięta, iż jądro będzie oddzielone od plazmy, wtedy tak jedna jak druga część zginą niezawodnie.

Komórkę uważamy obecnie za elementarny składnik wszystkich organizmów, za osobnika (jednostkę) niższego rzędu; całość więc tych jednostek jest niezbędnym, wewnętrznym warunkiem życia. *Tylko tam, gdzie jądro i plazma połączone są nierozerwalnie z sobą, może trwać życie bez przerwy.*

Celowość w budowie, sprawność i wszystkie najgłówniejsze zjawiska fizyologiczne organizmów dla nas o wiele stały się zrozumialszemi i prostszemi, odkąd poznaną została komórkowa budowa tych organizmów, odkąd na życie osobników wielokomórkowych zapatrujemy się, jako na życie społeczne składających je komórek.

Wiele objawów fizyologicznych wyjaśniło się nam należycie dzięki analogii, jaką w drobnych nawet szczegółach przeprowadzono pomiędzy życiem zbiorowem ustroju a społeczeństwem ludzkiem. Pogląd ten od bardzo dawna wypowiedziany, wielokrotnie ostro krytykowany, dziś został przyjęty i uzasadniony przez najwybitniejszych biologów nowoczesnych, że wspomnę tu Spencera, Hertwiga, Verworna i wielu innych.

Życie społeczne komórek jest w znacznej mierze tą siłą organizującą, która normuje równowagę wzajemną w stosunkach międzykomórkowych, jest tym warunkiem wewnętrznym, bez którego organizmy byłyby chaotycznem nagromadzeniem luźnych okruchów plazmy śluzowatej.

Trudno przesądzać, jaki zbieg okoliczności lub jakie nowe odkrycia wyjaśnią nam ostatecznie wszystkie, do dziś dnia jeszcze ciemne zjawiska życiowe, zachodzące wewnątrz komórek, a związane z zagadkowem jakiemś ustosunkowaniem, istniejącem pomiędzy jądrem i zarodzią. Bardzo jednak ponętnym bo prostym i na analogii opartym, wydaje się nam ten pogląd na istotę zjawisk życiowych wewnątrzkomórkowych, który plazmę i jądro komórek uważa za zbiorowiska „uspołecznione“ jakichś nieznanych nam bliżej niedostrzegalnych, bo nadzwyczaj drobnych jeszcze niższych jednostek żywych, tak z sobą w jedną całość organiczną na podstawach socyologicznych zespolonych, jak komórki w roślinie, zwierzęciu lub człowieku.

Ten pogląd miał już zwolenników wśród biologów teoretyków i praktyków, jak Darwin, Spencer, Weissman, Nägeli, Altman i in.

Gdyby jakieś nieprzewidziane, a tak upragnione udoskonalenia w technice mikroskopowej pozwoliły nam jeszcze głębiej zajrzeć w budowę zarodzi oraz jądra i stwierdzić te problematyczne, żywe składniki komórek, które Altman nazwał *granulami*, wtedy dopiero moglibyśmy prawdopodobnie wyjaśnić sobie należycie warunki wewnętrzne zjawisk życiowych, zachodzących w komórkach.

Kazimierz Kulwieć.

LITERATURA I SZTUKA.

Literatura duńska.

Herman Bang: *Mikael.*

Każde ukazanie się nowego utworu Hermana Banga bywa serdecznie witane przez miłośników literatury pięknej. Dania posiada poważną liczbę pierwszorzędnych talentów powieściopisarskich: Karol Larsen w kompozycyi i artyzmie wykonania przewyższa Banga, przerasta go też Johannes Jörgensen prześliczną, rytmiczną prozą i językiem, jakim pisywał chyba tylko Jacobsen, ale kto w utworach literackich szuka odczucia, szczerości, ten nie znajdzie między pisarzami duńskimi równego Bangowi.

Powieści jego działają niesłychanie nadzwyczaj subtelnem wnikaniem w dusze ludzi prostych, naiwnych. Dotychczasowa, dwudziestopięcioletnia działalność literacka autora wykazuje dwa arcydzieła w tym kierunku tj. „Ved Vejen“ (Przy drodze) i „Tine“ (Wojna).

Nowy, zdaje się, okres rozpoczął Bang powieścią, wydaną tej wiosny p. t. „Mikaël,“ którą zaczerpnął z życia najgórniejszej sfery społecznej, bo z życia artystów.

Z tego utworu przekonać się możemy najdowodniej, jak mało właściwie znaczy oryginalność samego tematu. Jest nim tu walka młodych ze starymi, walka przywiązania rodzicielskiego z egoizmem dzieci, walka idealnego ukochania sztuki ze zmysłową namiętnością. Wszystko to już było, ale ponieważ ta walka istnieje od wieków, i istnieć nie przestanie, nie przestanie więc być tematem zajmującym, a odczuta w tak wyjątkowy sposób, przedstawiona z taką prawdą i siłą, jak w omawianym utworze, działa potężnie na czytelnika.

Właściwym bohaterem nie jest Eugeniusz Mikaël, Czech z rodu, nadający tytuł powieści, lecz mistrz jego, sławny, wielki malarz francuski, Klaudyusz Loret.

Poznajemy go już w jesieni życia, które całkowicie poświęcił sztuce, nie pozwalając sobie na zawiązywanie trwalszych stosunków, to też pozostał sam; w całym, ogromnym Paryżu, który korzy się przed jego geniuszem, gdzie uwielbiają go wielcy i mali, nie posiada ani jednej istoty, jemu wyłącznie oddanej.

U szczytu sławy, majątku i życia przywiązuje się Klaudyusz Loret całą mocą niezużytego serca do ucznia swego, pierwotnie modelu, Mikaëla, w którym spodziewa się mieć godnego spadkobiercę swego talentu i zdobytego tymże talentem mienia.

Młody chłopiec jednak, żądny rozkoszy ziemskiej, sprzeniewierza się świętej sztuce, opuszcza przybranego ojca i mistrza, bo droższy mu po nad wszystko uścisk ukochanej kobiety.

Starzec umiera więc w samotności, lecz wielkim pozostaje do ostatniego tchnienia; boli go opuszczenie, pragnie bodaj w chwili zgonu ujrzeć po raz ostatni ukochanego wychowanka, ale nie ma żalu do niego, nie narzeka na niewdzięczność, przeciwnie, doznaje uczucia pewnego rodzaju radości i podziwu, że przynajmniej, umierając, pojął i zrozumiał, jaką nieprzepartą moc posiada wielka namiętność.

Tę bolesną tragedyę potężnej woli ducha ludzkiego rzucił autor na tło życia Paryża, jako środowiska sztuki i najwyższej kultury.

Tu miał Herman Bang sposobność przedstawić kilka niezrównanych życiem i ruchem scen, tak z widowisk teatralnych i spraw zakulisowych, z zebrań artystycznych, jak wreszcie dać pełne charakteru obrazy zgiełku ulicznego lub nocnej ciszy tego olbrzymiego miasta.

Wśród dotychczasowych prac autora jedna tylko powieść „Stuk“ mogłaby wykazać dalekie z najnowszą pokrewieństwo. Tłem obu jest życie wielkomiejskie, obie prócz osób głównych, posiadają dużo, może cokolwiek zadużo figur drugorzędnych, które w pierwszej chwili wytwarzają pewien chaos i tylko nadzwyczajnej ich plastyce zawdzięczać należy, że wbijają się w pamięć. W „Stuku“ też znajduje się epizod, w którym moglibyśmy widzieć niejako pierwowzór głównego motywu Mikaela. I tam syn, przedmiot bezgranicznej miłości rodziców, jedyny cel ich życia, jedyny węzeł łączący ich z sobą, z całym bezwzględnym egoizmem młodości, z całą samowiedzą własnego okrucieństwa marnuje się i ginie, druzgocąc serca pozostałych.

W „Wojnie“ (Tine) wprowadza Bang także ten motyw, lecz potężniejszy, ogólniejszej natury przedmiot przytłoczył go swą wielkością.

W ostatniej powieści wzniósł się autor wyżej, czyniąc Klaudyusza Loreta nietylko ojcem duchowym, łaknącym synowskiego przywiązania, lecz przedstawicielem najwyższego pierwiastku w artyście: miłości dla sztuki.

I pod względem formy stanął w tej powieści Bang znacznie wyżej, niż w „Stuku.“ Pojedyńcze epizody, jakkolwiek same przez się bardzo dobre, tu mało wiązały się z całością, w „Mikaelu“ zaś zlewają się niby oddzielne fale w jeden obfity strumień życia.

Wielbicielom swego talentu sprawił Herman Bang tą najnowszą pracą radosną niespodziankę. Dotąd czerpał on bowiem tematy jedynie z historyi własnego życia i to nietyle duchowego co zewnętrznego, a ono, chociażby najbogatsze, nie może być źródłem niewyczerpanem; lękano się tedy, że autor z czasem będzie się musiał powtarzać. Z drugiej strony jego zamiłowanie do przedstawiania wewnętrznych, niezbyt skomplikowanych, procesów w umysłach mało rozwiniętych, naiwnych, trzymających się tuż przy ziemi, groziło mu popadnięciem w pewnego rodzaju manierę i sentymentalizm (co niektórzy krytycy już mu zarzucali).

Wszystkiemu temu zadał kłam Herman Bang i w powieści „Mikaël“ stworzył dzieło nowe, świeże, dzieło prawdziwego talentu, głębokie i mocne, a że wewnętrznie bardzo blizkie autorowi, więc wprost wstrząsające, pomimo rzadkiej u niego dotąd przedmiotowości w przedstawieniu. To potężne oddziaływanie na czytelnika — jest właśnie znamienną cechą talentu Banga, która stawia go tak wysoko w rzędzie powieściopisarzów światowej sławy.

Józefa Klemensiewiczowa.

NOWE KSIĄŻKI.

— Nellie-Grimm: **Jak omawiać drażliwe kwestye z dziećmi i młodzieżą?** Spolszczyła R. Centnerszwerowa. G. Centnerszwer i Sp. Warszawa, 1904, str. 39.

I. Moszczeńska: **Jak rozmawiać z dziećmi o kwestyach drażliwych?** Wskazówki dla matek. Warszawa. 1904. M. Arct. „Książki dla wszystkich,“ str. 76.

Niektórzy rodzice i wychowawcy, zapatrując się poważnie na stosunek swój do dzieci, dawno już przyszli do przekonania, że rozpowszechniane dziś jeszcze bajki o bocianie itp. ze stanowiska pedagogiki zasługują na potępienie bezwzględne. Nie zaspakajają one bynajmniej ciekawości dziecka, która, rozbudzona w tym kierunku, nie zadawala się pierwszą lepszą odpowiedzią, lecz dotrze do źródła prawdy w sposób wcale niepożądany; co gorsza, odpowiedź kłamliwa podkopuje nieraz na zawsze zaufanie dziecka do rodziców. W teoryi więc sprawa dawno była rozstrzygnięta. W praktyce natrafiała jednak na wiele trudności, zdawało się, nieprzezwyciężonych. Jak wziąć się do rzeczy? Jak dać sześcioletniemu np. dziecku odpowiedź prawdziwą, zrozumiałą a poważną na pytanie, skąd ono się wzięło na świecie? Rozmowę taką matki starają się odwlec, o ile można, i rzeczywiście—im później ona nastąpi, tem lepiej dla dziecka. Pewnikiem jest jednak, nieulegającym już obecnie wątpliwości, że dziecko na pytanie, dotyczące jego narodzenia, powinno otrzymać odpowiedź zgodną z prawdą.

Dużem ułatwieniem dla matek, pragnących zastosować się pod tym względem do wymagań współczesnych, będą dwie niedawno wydane książeczki, któreśmy wymienili w nagłówku. Co do zapatrywań i ducha są one zupełnie ze sobą zgodne, różnią się głównie sposobem ujęcia kwestyi i przez to dopełniają się wzajemnie, a jednocześnie są uzupełnieniem wydanej przed rokiem broszurki Ellis Ethelmer p. t. „Skąd się wziął twój braciszek?“

Nellie-Grimm daje nam kilka barwnie odtworzonych rozmów matki z synem, ojca z synem i matki z córką, który w poważny i przystępny sposób zaznajomili swe dzieci z tak ważną sprawą biologiczną. Rozmowy te, oczywiście, pośrednio tylko służyć mogą za wzór pogadanki; sposób jej przeprowadzenia powinien być zastosowany w praktyce do indywidualności dziecka, jego rozwoju umysłowego, warunków otoczenia, słowem, rodzice muszą włożyć w sprawę uświadomienia dziecka dużo własnej intuicyi.

Książeczka p. Moszczeńskiej składa się z trzech rozdziałów: 1) Skąd się biorą dzieci? 2) Związek między małżeństwem a macierzyństwem. 3) Jak chronić dzieci przed zepsuciem? Autorka daje szereg wskazówek praktycznych, jak w danym razie zaspokoić ciekawość dziecka; rady poparte są wielu faktami, zaczerpniętymi z życia, a wszystkie one przemawiają za tem, aby stosunek wychowawców do dzieci zarówno pod względem uświadamiania ich w sprawach biologicznych, jak wogóle pod każdym względem, opierać tylko na prawdzie i zaufaniu wzajemnem. *M. B.*

— Artur Gruszecki: **Pruski huzar**. Warszawa, 1904.

Ścisłe i dokładne sprawozdanie dziennikarskie z dziejów polskich chłopów, branych do wojska pruskiego. Każdy szczegół opowieści może być zapewne poparty faktem z „prawdziwego“ życia. Jest to zwykły, specyalny nasz „realizm,“ niewiele mający wspólnego z realizmem uznanych przewódców tego kierunku, Flaubertem, Zolą, Maupassantem, którzy mieli przedewszystkiem wielki talent. U naszych realistów talentu prawie, że brak. Jest pewna wprawa w opowiadaniu. Zręczna fabuła, mogąca zaciekawić umysły jednostek, niewysoko stojących pod względem potrzeb estetycznych, poczciwa tendencya, chęć wykazania dobroci jednych a niegodziwości drugich — to główna cecha tego rodzaju utworów. Wielki talent i w najzwyklejszych rzeczach przejawi głębię życia, katalogowania pewnych wydarzeń nie będzie.

Jeszcze jedna kwestya. Zdawałoby się, że powieści poczciwo-tendencyjne, choć nie mają wartości literacko-artystycznej, nie są pozbawione pewnego znaczenia społecznego: zaspokajają one ciekawość szerszego ogółu, „lubiących czytać,“ dają przeto godziwą i dobrą rozrywkę, to prawda, lecz z drugiej strony szablonem i przeciętnością swych poglądów nie przyczyniają się zbytnio do podniesienia poziomu kulturalnego i wysubtelnienia wrażliwości na piękno.

Notatki literackie i artystyczne.

— Szymon Askenazy: „Wczasy historyczne,“ t. II, nakł. Gebeth. i Wolffa.

— Adam Skałkowski: „Jan Henryk Dąbrowski,“ (1755 - 1818). Część I. (Monografia w zakresie dziejów nowożytnych, wyd. S. Askenazy) skł. gł. Gebethner i Wolff.

— Wacław Sobieski: „Szkice historyczne.“ (Żałobny hetman — pierwszy protektor Samozwańca. — Rola Jezuitów w dziejach Rzplitej. — Upadek rodziny Starzechowskich. — Zapomniany bohater śląski.— Z historyi niemieckiej), nakł. Gebeth. i Wolffa.

— Michał Tyszkiewicz: „Idea demokratyczna i jej krytycy w Rzplitej,“ uwagi i notatki, nakł: autora. Gebethner i Wolff.

— Wład. Grabski: „Historya Towarzystwa Rolniczego“ (1898—1861), tom I i II, nakł. Gebethnera i Wolffa.

— Jan Zahorski: „Tablice chronologiczne do dziejów Polski,“ nakł Centnerszwera.

— Maryan Wawrzeniecki i Szczęsny Jastrzębowski: „Poszukiwanie archeologiczne w Król. Pol. w sierpniu 1902,“ z 6 tabl., nakł Akademii Umiejętności w Krakowie.

— Konrad Drzewiecki: „Krótka składnia języka polskiego z przykładami i ćwiczeniami.“ Wykład elementarny, nakł. Gebeth. i Wolffa.

— Dr. Piotr Chmielowski: „Jan Kasprowicz,“ próba charakterystyki.

— D. Mereżkowski: „Leon Tołstoj i Dostojewski jako ludzie,“ Lwów pol. Tow. Nakł.

— St. Przybyszewski: „Z gleby kujawskiej (syn ziemi), Nakł. Borkowskiego, wyd. II.

— Ellen Key: „Indywidualność,“ z cyklu „Szkice,“ przekł. A. Selbi., nakł. Wendego. — Miłość i małżeństwo,“ przek. A. Strzeleckiego nakł. M Borkowskiego.

— Wład. Andrychiewicz: „Studya,“ poprzedzone wspomnieniem A. Suligowskiego, nakł. ks. Arcta.

— A. Suligowski: „Warszawa i jej przedsiebiorstwa miejskie,“ skł gł. w ks. Arcta.

— L. Jeziorański: „Księga adresowa przemysłu fabrycznego w Król. Pol. na rok 1904,“ wyd. Stowarz. techników w Warszawie, c. rb. 2.

SPRAWY EKONOMICZNE

Ryszard Cobden.

(Kartka z dziejów liberalizmu).

(Dokończenie).

Cobden był apostołem pokoju w polityce zagranicznej. Hasło utrzymania równowagi europejskiej przeciwstawiał najchętniej „nieinterwencyi,“ którą stosować chciał zarówno do zaburzeń na Bałkanie, wewnętrznego zarządu zamorskich kolonij Anglii, jak i do wszelkich zaborczych dążności mocarstw europejskich. W pochodzie przemysłowym, byle tylko granice były przed nią otwarte, stała Anglia na pierwszem miejscu i bez oręża miała na rynkach zbytu zapewnioną przewagę naturalną. Propagowany w imię ideałów ogólno-ludzkich, pokój sprzyjał zatem najlepiej interesom jej przemysłu, ale ten ideał: braterstwo i otwarte granice musiał być w całości urzeczywistniony. Wydatki na armię i flotę chciał Cobden zarzucić, jako nieprodukcyjne, a waśniom wśród narodów kłaść miały tamę sądy rozjemcze, nieprzerywające prawidłowego biegu wysiłków gospodarczych i obliczeń kupieckich.

W imię tychże samych przyrodzonych praw ludzkich, które nakazywały zniesienie uciążliwych dla przemysłu ceł zbożowych, protestował Cobden przeciw ustanowionemu ograniczeniu dnia roboczego. Bill dziesięcio-godzinny piętnował w namiętnem przemówieniu, jako zamach na wolność osobistą pracujących. Przepis, krępujący swobodną sprzedaż siły roboczej, poniżał człowieka w rozumowaniu Cobdena zarówno, jak skrępowanie wolnego przesiedlania się lub obioru zajęcia. A jeśli jest prawdą, że pracy dziecięcej nie można skutecznie ochronić bez skrócenia dnia roboczego doroslych, to należy i pracę dzieci pozostawić moralnej odpowiedzialności rodziców.

Granicy, dzielącej w Cobdenie fabrykanta, chcącego tanio produkować od fanatyka idei, kupca od filantropa — najlepiej nie szukać wcale. Przemożne interesy warstwy, dojrzałej już do panowania, tłumione długo innymi przywilejami, bądź opartymi na faktycznem posiadaniu, bądź na tradycyi, wybuchnęły nagle z siłą, która porwała do czynu i poświęceń. Cobden, nie będąc sam umysłem twórczym, był tym mężem „opatrznościowym“ liberalizmu, który pracą życia dopomógł wcieleniu w rzeczywistość haseł, będących istotnym wyrazem potrzeb danej chwili. Stał u przełomu, a linia, którą widział w śmiałym łuku strzelającą ku górze, załamała się znowu i mężem opatrznościowym gospodarki angielskiej stał się — Chamberlain.

Państwa europejskie nie poszły drogą wskazaną im przez Cobdena. W systemie zachodnio i środkowo-europejskich układów handlowych, zapoczątkowanych umową francusko-angielską z roku 1860 wzajemne ustępstwa i udogodnienia zdawały się zapowiadać powolne przejścia do systemu wolno-handlowego. Ale zwrot ponowny nastąpił szybko. Wyroby angielskie, którym hasła liberalne torowały drogę, poczęły zalewać rynki i wykazały niebezpieczeństwo ulegania głoszonym przez silniejszego prawdom. Wolny handel zaczął się przedstawiać, jako wiekowe poddaństwo pracy narodowej, więc wkrótce obronę interesów narodowych przeciwstawiono groźnej wolności. Po chwilowem zbliżeniu nastąpiło znowu zazdrosne strzeżenie granic przed obcym towarem, a w toczących się układach handlowych tworzenie dla wytwórczych sił krajowych korzystnych warunków rozwoju bodaj za wałem taryf.

Tylko rynki angielskie, wierne głoszonym hasłom, pozostały otwarte dla dowozu z zewnątrz, ale i tu stosunki poczęły się zmieniać. W przeciągu pół wieku wyrosło groźne dla Anglii współzawodnictwo Niemiec i Ameryki Północnej, które nietylko na obcych, ale nawet na angielskich rynkach do współubiegania z nią wystąpiły.

Długie lata panowania i powodzenia uśpiły czujność fabrykanta angielskiego. Jego towar był długo jedynym. On narzucał też cenę, smak i warunki, przyjmował lub nie zamówienia. To też nie nauczył się jeszcze stosować do cudzych wymagań, ulegać zachceniom mody, schlebiać drobnymi ustępstwami kupującym, choć dawno już fabrykanci innych krajów, poszukując zbytu dla swych wyrobów, wszędzie poszli jego śladem. Mogąc posuwać się naprzód tylko przez wyparcie drugiego, podpatrzyli odrazu wszystkie jego słabe strony, a teraz przewyższają już Anglię i umieją ją ubiedz. Cyfry świadczą o tem dobitnie. W ostatniem dziesięcioleciu wzrósł wywóz niemiecki z 3,274 mil. szylingów do 4,677 milionów. Stanów Zjedn. A. P. z 3,377 mil. do 5,693 mil., angielski zaś z 4,901 tylko do 5,784. A przytem najbliższa przyszłość zapowiada Anglii, utrudniony dostęp do oclonych wszędzie granic i silniejszy napływ obcych towarów, które w jej wolnohandlowej przystani szukają chętnie przytułku. Wygórowane ceny, jakie przedsiebiorstwa skartelowane każą sobie płacić w granicach własnego kraju, pozwalają im często na sprzedaż obcym niżej cen wytwórczych. Towar taki zaś to dla fabrykantów angielskich rywal niebezpieczny, bo wobec taniości, w którą się uzbraja, wszelka walka z nim z góry już jest niemożliwa. Stosunki zaś niezawsze są tak jawne i tak dojrzałe by się ratować dało — brukselską konwencyą.

Wolny handel, który, wbrew oczekiwaniom Cobdena, świata swym przykładem nie porwał, przeżył się i w swojej ojczyźnie. Przemysłowcy angielscy poczęli wzdychać z cicha za pewną poręką zbytu, jakie ela dają bodaj na państwowej przestrzeni — i wtedy to Chamberlain wystąpił z hasłem brytańskiego imperium, silnego zespolenia Anglii z zamorskiemi jej koloniami. Pierścieniem, obejmującym w jedną całość, przedzielone oceanem części wspólnej ojczyzny, ma być taryfa celna, dająca wyrobom przemysłowym Anglii pierwszeństwo w koloniach, produktom rolniczym zaś kolonij — w kraju macierzystym.

Z energią podobną tej, z jaką dla rozkwitającego przemysłu Anglii apostoł liberalizmu żądał wolnego handlu, żąda teraz Chamberlain dla zagrożonej w swych najżywotniejszych interesach gospodarki krajowej Anglii większej, świetniejszej ojczyzny — strzeżonej przed obcym przemysłem.

Koła handlowo-bankierskie, dla których nieskrępowany niczem obieg towaru i pieniądza pozostał i nadal najświętszem przykazaniem, oporne wobec agitacyi Chamberlaina przywołują w pomoc — cień Cobdena. Również i przeważna część robotników z obawy podwyższenia cen żywności i przywiązania do liberalnych tradycyj, które wśród warstwy pracującej w Anglii silnie się zagnieździły, oświadcza się przeciw unii celnej. Ale już teraz dochodzą z tych szeregów głosy, że współzawodnictwo taniego towaru równie jest groźne dla utrzymania wysokich płac, jak współzawodnictwo taniej siły roboczej. A przytem polityka trades-unionów, zmierzająca do ograniczenia podaży pracy, poprzeć powinna politykę, zmierzającą do usunięcie podaży towarów obcych, odbierających zajęcie krajowym siłom roboczym.

I tak nawet wśród uroczystości Cobdenowskich widać było, jak kruche są podstawy, na których opiera się wolny handel w Anglii. Byt jego jest już tylko kwestyą czasu. A wtedy po za osłoną ceł powstać będą mogły w Anglii kartele i trusty, a robotnik angielski, wierzący dotychczas jeszcze „w równość obu stron przy zawieraniu kontraktu“, stając wobec monopolów, pozbędzie się wielu złudzeń, z któremi zerwać dotychczas trudno mu było. Położenie jego upodobni się do położenia kontynentalnego robotnika, więc i polityka jego w silniejszym stopniu przybierze te znamiona, które zwykliśmy widzieć w tutejszych partyach roboczych.

Helena Gumplowicz.

NA MARGINESIE.

Panowanie ducha nad materyą. John Newman opowiada w kwartalniku *Buddhism*, w artykule o hypnotyzmie, nadzwyczajne rzeczy o władzy lamów tybetańskich nad przedmiotami martwymi. Żadne najsłynniejsze medium nie może się równać z nimi pod tym względem. Podróżnjący w Kochinchinie spotykają nietylko wirujące stoliki, ale ogromne tratwy, popychane wzdłuż brzegów wysiłkiem woli jednego człowieka, a misyonarze jezuici, którym udało się przeniknąć w głąb Tybetu, zapewniają, że widzieli lamów nietylko obracających stoliki, lecz przerzucających je w powietrzu. Pewien rosyjski podróżnik, który był świadkiem takiej sztuki, objaśnia, że zazwyczaj lama ucieka się do tego sposobu dla wykrycia złodzieja lub mordercy w razie, jeśli jest o to proszony przez interesowanych.

W oznaczonym dniu siada on na na ziemi przed małym stoliczkiem i, położywszy na nim rękę, zaczyna czytać z książki monotonnym głosem. Po upływie pół godziny podnosi się, odejmuje rękę od stołu i wyciąga nad nim ramię, rękę zatrzymując w tej pozycyi, w jakiej spoczywała na stoliku. Po upływie paru minut stolik zaczyna się podnosić stopniowo, z ruchem ręki, aż do wysokości oczu lamy. Ten ostatni zaczyna postępować, stolik za nim puszcza się ruchem wirowym, który dochodzi do takiej szybkości, że lama biegiem nie może mu nadążyć. Zrobiwszy kilka rzutów w różnych kierunkach, zaczyna się stolik wahać i nakoniec opada na ziemię. Zwykle podobno pochylenie w jedną jakąś stronę bywa większe, niż w inne, co uważane jest za wskazówkę kierunku, w jakim należy robić poszukiwania. Rosyanin, o którym była powyżej mowa, opowiada, że czterokrotnie był świadkiem takich wywiadów: trzy razy lama oświadczył, że skradzione przedmioty nie mogły być odzyskane, za czwartym jednak, po wykonaniu wielu zwrotów w powietrzu, stolik opadł nakonicc, lecz pomimo najstaranniejszego przetrząśnięcia wszystkich kątów, nic się znaleźć nie udało w tem miejscu. Następnego dnia zdarzył się jednak wypadek, który obudził podejrzenie: człowiek, mieszkający w poblizkiej chacie, odebrał sobie życie; gdy dom jego obszukano, znaleziono ukryte w nim wszystkie przedmioty skradzione.

Najstaranniejsze obejrzenie stolika nic wykazało obecności ani drutu, ani żadnej takiej rzeczy, któraby mogła ułatwić działanie lamie — kończy *Buddhism.*

Ciekawa wystawa. Dr. F. Deneken, stojący na czele Kaiser-Wilhelm-Muzeum, jednego z najbardziej ruchliwych i żywotnych muzeów prowincyonalnych w Niemczech, przed dwoma laty urządził był tak zwaną „Farbenschau," czyli wystawę, mającą poglądowo wyjaśnić rolę barwy w sztukach pięknych. W roku bieżącym muzeum przygotowało wystawę, poświęconą znaczeniu linii i formy w sztuce. Zebrano tu szereg wytworów przyrody, odznaczających się szczególnie pięknymi kształtami, a obok nich dzieła sztuki czystej i stosowanej z rozmaitych krajów i epok, w oryginałach lub reprodukcyach, w których twórcy główny nacisk położyli na wyraz i harmonię linii. Nader bogato i różnostronnie przedstawieni są w tym kierunku artyści współcześni, wyróżniający się wybitnym talentem dekoracyjnym oraz stylem monumentalnym, jak Puvis de Chavannes, M. Denis, Toorop, Beardsley, Minne, Daudelet, T. T. Heine itd. i najbardziej odrębni i oryginalni kierownicy nowoczesnej sztuki stosowanej, jak Van der Velde, P. Behrens, Mackintosh itd. Prócz tego znalazły tu miejsce, może po raz pierwszy wogóle na wystawie artystycznej, modele dzieł sztuki inżynierskiej, piękne w swoim rodzaju śmiałością i celowością linij zasadniczych. *P. E.*

Z PRASY

W *Gazecie Finlandzkiej* czytamy:

„Rozkaz Najwyższy o usunięciu z pod władzy finlandzkich instytucyj sądowych sprawy nikczemnego zabójstwa general-adjutanta N. I. Bobrikowa i oddanie jej w celu przeprowadzenia śledztwa pierwiastkowego sędziemu śledczemu do spraw szczególnej wagi okręgu petersburskiej Izby sądowej, Korobczyczowi Czerniawskiemu, pod nadzorem prokuratora petersburskiej Izby sądowej, jest wypadkiem ważnym w najwyższym stopniu. Odtąd wyjaśnienie tej sprawy będzie się znajdowało w doświadczonych rękach rosyjskich władz sądowych, które niewątpliwie wytężą wszystkie siły, aby odkryć uczestników tego podłego przestępstwa. Pozostawienie sprawy w rękach władz miejscowych, nie mówiąc już o tem, że byłoby niepożądanem pod względem politycznym, nie mogło być dopuszczone już z tego względu, że w Finlandy istnieje przedpotopowa organizacya sądowa. Niema instytucyi sędziów śledczych, niema śledztwa pierwiastkowego, którego zadaniem jest rozświetlenie najdrobniejszych szczegółów sprawy i wykrycie wszystkich uczestników przestępstwa — całe śledztwo policyjne oddaje się do sądu, który na posiedzeniu publicznem przystępuje odrazu do śledztwa sądowego i bada świadków pod przysięgą. Ocena zeznań świadków i innych powodów nie jest swobodna, lecz ściśle określona przez prawo, ponieważ finlandzka procedura sądowa zna jeszcze teoryę dowodów formalnych. Zeznanie niezaprzysiężone nie ma żadnego znaczenia, a zaprzysiężone są oceniane nie według ich znaczenia wewnętrznego, lecz według ilości świadków. Niechrześcianie zupełnie świadczyć nie mogą. Oczywiście przestępstwo, dokonane na osobie najwyższego przedstawiciela Władzy Monarszej w kraju, nie mogło być poddane pod takie śledztwo. Potrzebny był sąd rosyjski, zaopatrzony we wszystkie sposoby wykrycia przestępstwa, ponieważ bodaj czy ktokolwiek może wątpić, że zabójstwo to jest dziełem kilku osób, a nie jednej. Jest rzeczą konieczną, aby śledztwo energiczne wykryło wszystkich uczestników tego nędznego spisku. Rozkaz Najwyższy wyznaczył właśnie takie śledztwo."

A *Mosk. Wied.* dodaja: „Finlandya dowiodła, że nie można do niej stosować tych łagodnych, humanitarnych środków, którymi walczyła z nią dotąd administracya rosyjska. Dowiodła, że nie zasługuje na żadną pobłażliwość, że potrzebuje nad sobą ręki żelaznej, surowej, nieubłaganej."

— Z powodu uchwały Rady państwa o pracy w dni świąteczne, redaktor *Now. Wrem.*, p. A. I. Suworin, daje ciekawe wyliczenie. Zdaniem jego, w okresie robót rolnych od kwietnia do września, obejmującym 153 dni, w Rosyi przypada 77 dni świątecznych, gdy w Europie tylko 26—27. Jeszcze ciekawsze są dane co do kształcącej się młodzieży:

„Na czteroletni kurs uniwersytecki młody Rosyanin pracuje istotnie 1 rok i 295 dni, Francuz 2 lata i 74 dni, Anglik 2 lata i 158 dni; Austryak 2 lata i 206 dni, Amerykanin 2 lata i 210 dni, Holender 2 lata i 334 dni, wreszcie Duńczyk 3 lata bez jednego dnia. Wobec tego, wychowaniec wyższych zakładów rosyjskich w ciągu 4 lat pracuje o 148 dni mniej od Francuza, o 232 mniej od Anglika, o 280 — od Austryaka, o 284 — od Amerykanina, o 304 — od Niemca, o 334 — od Holendra i o 364 — od Duńczyka. Jeżeli wziąć ośmioletni kurs gimnazyalny, to okaże się, że uczeń w Rosyi pracuje o 232 dni mniej od Anglika, o 296 mniej od Amerykanina, o 360 — od Niemca i o 465 — od Duńczyka. Stąd wynika jasno, że pracujemy i uczymy się mniej, niż inne kraje Europy. To też we wszystkiem pozostajemy za nimi w tyle. Czyż istotnie jesteśmy zdolniejsi i mądrzejsi od tych narodów, za którymi pozostajemy w tyle?"

— W. I. Niemirowicz-Danczenko opisuje historyę inżyniera chińskiego Cho, który niedawno uciekł z Portu Artura i może dać Japończykom ważne wskazówki:

„Cho otrzymał wykształcenie europejskie. Na początku służył swoim. Kiedy zajęliśmy Kwantun, zaproponowano mu, aby pozostał u nas. Stary zgodził się i pracował tu uczciwie i wiernie. Był nam bardzo pożyteczny. Dostarczał robotników chińskich, podwody, zapasy, wszystko, a prócz tego sam był doskonałym inżynierem. Wiele wspaniałych urządzeń w Porcie Artura jest wykonanych i obmyślanych przez niego. Był dawniej uważany za jednego z najszanowniejszych ludzi w naszem towarzystwie. Przytem zbogacił się bardzo i rachowano go prawie na milion.

Pod samym Portem Artura, nad dużym, niebieskim stawem, leżą setki jednakowych domków, niby domki z kart. Całe to miasteczko należało do niego; zbudował je dla robotników chińskich i osiągał z niego znaczne dochody.

Inżynier Cho zna Port Artura, jak własną kieszeń. Nie potrzebuje żadnej mapy; zna on wszystkie jego mocne i słabe strony, wie, gdzie znajduje się każdy fort, każdy przekop; gdzie są bezpieczne, martwe punkty. Po nocy, z zawiązanemi oczami przeprowadzi pana wszędzie. Dla Japończyków człowiek taki poprostu nie ma ceny. Wierzyliśmy mu, jak samym sobie, i oto...

— Ale dlaczego rzucił wszystko i uciekł?

— Tu znowu my jesteśmy winni. Cho był przyzwyczajony do oznak szacunku. Namiestnik zapraszał go na obiady, na bale. Podawano mu rękę, jak równemu, choć nieraz na robotach nie można było odróżnić go od prostego robotnika. Tymczasem w ostatnich czasach Cho stał się bardzo niezadowolony ze swego położenia. Potrosze usunięto go od wszystkiego, pozbawiono urzędów, zaczęto się z nim obchodzić, jak z prostym „manzą," czasami nawet ubliżano mu. Cho począł zamyślać się i potrosze odsuwał się od wszystkiego. Niedawno jakiś urzędniczek wrzeszczał na niego, jak na parobka, zapominając, co mu zawdzięcza Port Artura. W dodatku robotnicy, Rosyanie, nie słuchali go, śmieli się z niego. Nic dziwnego, że obrażona miłość własna mogła go zbliżyć do Japończyków..,

Japończycy wiedzą wszystko, wchodzą wo wszystko, korzystają ze wszystkiego. Powiedziałem już, że dla nich on jest wart milion, i sądzę, że agenci ich dawno już chodzili koło niego. Otóż kiedy nie mógł już u nas wytrzymać — uciekł. Dało to powód do najdziwniejszych pogłosek. Jedni widzieli, jak Cho szedł pieszo w góry na lewo. Inni przysięgali, że na szalupie pojechał prosto na pancernik japoński, specyalnie wysłany po niego. Jeszcze inni, Chińczycy, sprowadzają na jego usługi smoka ognistego. W każdym razie jesteśmy przekonani, że wkrótce da on znak życia o sobie. O takiego człowieka należało dbać i jeszcze raz dbać. Napewno, jeżeli teraz nie jest u Japończyków, to już agenci japońscy, którzy oczywiście wcześniej od nas dowiedzieli się o jego ucieczce, myszkują po całem pograniczu, aby odszukać inżyniera Cho i oświadczyć mu, że admirał Togo pragnie nadewszystko poznać go. Na wyspach Elliota przygotowują mu powitanie królewskie..."

KRONIKA.

Wiadomości społeczne. *Kur. Wars.* donosi: Warszawski komitet pomocy dla robotników żydowskich, istniejący przy Tow. „Pomoc ubogim", rozdał w pierwszym tygodniu istnienia 25,000 funtów chleba, w drugim — 30,000, w trzecim — 45,000. Nie wystarcza to jednak, obliczono bowiem, że trzeba co najmniej 75,000 funtów tygodniowo. Niezadługo komitet zacznie rozdawać także kartki na inne pokarmy, prócz chleba. Delegaci stwierdzili, że rodzin robotników potrzebujących pomocy jest obecnie przeszło 4,000.

— Na posiedzeniu komitetu Towarzystwa domów zarobkowych i przytułków noclegowych uchwalono wydawanie obiadów bezpłatnych i chleba zarówno chrześcianom, jak żydom, za pośrednictwem fabrykantów, starszych cechowych i oddziału pośrednictwa w wyszukiwaniu zajęcia.

— Ministeryum skarbu opracowywa projekt państwowego ubezpieczenia od śmierci i na dożycie. Potrzebnego kapitału mają dostarczyć kasy oszczędnościowe skarbowe i pocztowo-telegraficzne.

— *Warsz. Dn.* donosi, że podczas pożaru w jednym z browarów przy ul. Wroniej, powtórzyły się te same zajścia, jakie miały miejsce przed dwoma tygodniami przy ul. Grzybowskiej podczas gaszenia ognia w składach Spiessa. Tłum uliczny, złożony z dorosłych i wyrostków, rzucał kamieniami w policyantów oraz żołnierzy i rozbijał szyby w sklepach żydowskich.

— Świadectwa pochodzenia wydawane będą tylko tym stałym mieszkańcom Warszawy, którzy jako dowód złożą metrykę lub akt ślubny.

— Właściciele fabryk w Tomaszowie Rawskim i obywatele okoliczni postanowili zebrać odpowiedni fun-

dusz dla dostarczenia zajęcia ludności przy robotach publicznych w mieście. Płacę dzienną ustanowiono na 30—40 kop. przez pięć dni w tygodniu.

— Sąd przysięgłych we Lwowie skazał 50 włościan na karę od tygodnia do 5 miesięcy więzienia za zaburzenia antisemickie w Uhnowie.

— Austryackie ministeryum spraw wewnętrznych przeznaczyło 500 kor. na budowę pomnika Mickiewicza w Krynicy.

Szkoły i wychowanie. Na dzień 23 sierpnia oznaczono ostateczny termin wnoszenia podań o przyjęcie do uniwersytetu warszawskiego w nadchodzącym roku szkolnym.

— Do instytutu gospodarstwa rolnego i leśnego w Nowej Aleksandryi przyjętych będzie w r. b. na pierwszy kurs 60 kandydatów. Podania wnosić można do 14 sierpnia.

— Uczniowie szkół miejskich mają otrzymywać nowego typu świadectwa, w których wymienione będą powody opuszczenia zakładu przed ukończeniem całkowitego kursu.

Wiadomości naukowe Petersburska Akademia nauk ogłosiła była konkurs na opracowanie dzieła o truciznie, zawartej w gnijącem mięsie rybiem. Nagrody oznaczono trzy: 5,000, 1,500 i 1,000 rb. Na konkurs przedstawiono 6 prac, z których jedną, dr. M. I. Arustamowa, zakwalifikowano do drugiej nagrody. Konkurs ma być ponowiony.

— Ogłoszono konkurs na posadę asystenta przy katedrze chemii w politechnice lwowskiej, z pensyą 1,400 koron.

Literatura i prasa. Na konkursie *Rolnika i hodowcy* pierwszą nagrodę z zakresu rolnictwa przyznano p. Jerzemu Turnau z Galicyi za artykuł „Cywilizacya polega przedewszystkiem na rozwoju rzeczy użytecznych"; drugą — p. S. Moszczeńskiemu za pracę p. t. „Postęp." Z zakresu hodowli nagrodę drugą przyznano p. J. Maszałkiewiczowi ze Lwowa za art. p. t. „Ceres." W dalszym ciągu ogłoszony został nowy konkurs na dwa artykuły 1,000-wierszowe z dziedziny rolnictwa i hodowli z dwoma nagrodami po 100 i 25 rb., oprócz honoraryum autorskiego. Termin do d. 1 lutego 1905 r.

— Zawiązała się w Warszawie spółka komandytowa w celu wydawania „Encyklopedyi powszechnej w języku hebrajskim."

— *Siewiernyj Kraj* zawieszony został na 8 miesięcy.

Ze sztuki. W Tow. sztuk pięknych wakują stypendya: z zapisu Heleny Korwin Szymanowskiej 116 rb. kop. 50, z zapisu Simmlera rb. 222, i stypendyum im. Kopernika rb. 92. Z zasiłków tych mogą korzystać młodzieńcy, pragnący kształcić się w sztuce malarskiej lub rzeźbiarskiej, celem zaś pozyskania stypendyum muszą wykonać odpowiednie prace konkursowe. Podania wnosić można do końca sierpnia.

— W konkursie na figury mające zdobić front gmachu Stowarzyszenia techników w Warszawie, żadnej pracy nie nagrodzono.

Sprawy ekonomiczne. Tow. rolniczemu w Płocku odmówiono zatwierdzenia ustawy Kasy wsparcia dla pracowników rolnych i ich rodzin na wypadek i śmierci niezdolności do pracy

— Stowarzyszenia rzemieślnicze wniosły podanie do władz ministeryalnych, ażeby wyroby warsztatów więziennych i domów zarobkowych ograniczyły swój zbyt do instytucyj dobroczynnych i wojskowych.

— Do komisyi obradującej w kwestyach rolniczo-gospodarczych wniesiono projekt zmian w nabywa- [illegible] Uznano mianowicie za pożyteczne, aby Bank sam dzielił majątki na parcele, wznosił na nich budynki i dopiero wtedy sprzedawał włościanom na raty, nie żądając na razie gotowizny

— Obroty Banku spółek zarobkowych w Poznaniu wyniosły w r. 1903 — 220 milionów marek, o 59 mil. m. więcej, niż w roku poprzednim.

— W Stanach Zjednoczonych 655,000 robotników pozostaje bez zajęcia.

— Departament rolniczy postanowił dawać zasiłki instytucyom i osobom prywatnym, zajmującym się rozwojem pszczelnictwa.

— Zarząd muzeum przemysłowego, miejskiego we Lwowie ogłasza konkurs na projekty zabawek dla dzieci różnego wieku. W konkursie mogą brać udział tylko artyści i rzemieślnicy polacy i rusini. Konkurs obejmuje 3 działy: 1) grupy wiążące się w całość (jasełka, teatr, bydło, polowanie itp.); 2) grupy w prostem wykonaniu (oddziały żołnierzy, wesele chłopskie, pochody „Sokołów", izby itp.) 3) poszczególne przedmioty (postacie historyczne, zwierzęta, wozy, kręgle itp.). W pierwszym dziale ustanowiono 3 nagrody po 200 koron, w drugim 4 po 100 kor. i w trzecim 5 po 75 koron. Termin nadsyłania projektów oznaczono na 15 września 1904 r.

Koleje i komunikacye. Ogłoszenie taryfy dla kl. IV wywołało ten skutek, że podróżni zaprzestają jeździć klasą III. Z tego powodu ministeryum komunikacyj, przewidując zmniejszenie się dochodów, zażądało od zarządów kolejowych wyjaśnienia, czy ze względu na warunki miejscowe przewóz klasą IV powinien się odbywać cały rok, czy tylko w niektórych sezonach i za biletami pojedyńczymi. Wagony klasy IV pozwolono dostawiać tylko do pociągów towarowych pospiesznych i wojskowych.

— Postanowiono zabronić ubiegania się o roboty kolejowe tym przedsiebiorcom, którzy nieakuratnie obliczają się z robotnikami.

— Ministeryum komunikacyj zatwierdziło uchwałę zjazdu przedstawicieli kolei rosyjskich, aby podróżnym, którzy w czasie wypadku utracili pakunki ręczne, wyznaczyć odpowiednie odszkodowanie, bilet zgubiony zastąpić innym do miejsca podróży, a nadto wypłacać dyety dzienne od 1—3 rb., stosownie do klasy [illegible]

— Koleje państwowe rosyjskie dały w r. 1903 dochodu brutto 644 mil. rb., o 45 mil. więcej, niż w roku poprzednim.

Pożary. W osadzie Ossowy, pow. Radzyńskim, a nie [illegible] cmentarze, spaliło się 110 domów mieszkalnych i 300 zabudowań gospodarskich z całym dobytkiem.

OGŁOSZENIA.

Redaktor i Wydawca A. Dembowski.

Дозволено Цензурою, Варшава 18 іюня 1904 г. Warszawa. Druk K. Kowalewskiego, Mazowiecka 8